



F
A
N
T
A
Z
J
E

N
A
N
O

3.0

O

ANTOLOGIA MIKROPOWIADAŃ





Fantazmaty
Grupa Wydawnicza

NANOFANTAZJE

3.0

Opczno 2023

Redaktor prowadzący: Dawid Wiktorski

Koordinacja działu redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś, Dawid Wiktorski

Koordinacja działu korekty: Justyna Mroczek-Żal, Ilona Skrzypczak-Żurawska

Koordinacja działu weryfikacji: Anita Brzozowiec, Magda Kowalewicz

Koordinacja działu recenzji: Magdalena Piniak

Koordinacja działu ilustracji: Anita Brzozowiec, Arkadiusz Nowakowski, Magdalena Świerczek-Gryboś

Koordinacja działu audio: Magda Brumirska-Zielińska

Koordinacja działu marketingu: Dawid Wiktorski

Koordinacja działu tłumaczeń: Alicja Janusz

Ilustracja na okładce: huleeb

Projekt typograficzny okładki: Wiktoria Makowska

Skład i łamanie: Kinga Grodzka

Skład wersji elektronicznej: Kinga Grodzka

Projekt typograficzny: Kamila Dankowska

Tekst audiodeskrypcji okładki: Magda Brumirska-Zielińska

Konsultacja audiodeskrypcji: Magdalena Dudowicz

Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl

ISBN:

ePub: 978-83-66058-73-6

mobi: 978-83-66058-74-3

PDF: 978-83-66058-72-9

Oprawa miękka: 978-83-66058-75-0

Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formacie.

Uznanie autorstwa – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

Bez utworów zależnych – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

Wysłuchaj audiodeskrypcji okładki:

<https://hearthis.at/fantazmaty/>

<https://www.youtube.com/c/ProjektFantazmaty>

Okładka zbioru opowiadań „nanoFantazje 3.0”, wydanego przez Grupę Wydawniczą Fantazmaty w formie e-booka.

Format książki: A5, co w druku przekłada się na 21 cm wysokości i 14,8 cm szerokości.

Autor ilustracji okładkowej: huleeb

Autorka liternictwa: Wiktoria Makowska

Okładka wykonana w technice cyfrowej. Kolorystyka brązowo-zielona z dwiema małymi plamami pomarańczu i białym tytułem. Kompozycja obrazu jest odchylona od pionu o około 30° w prawo, tytuł pozostaje ułożony równoległe do krawędzi okładki.

Około trzy czwarte obrazu zajmują fragmenty trzech gigantycznych pni drzew, których korony nikną za górną krawędzią okładki. Pnie są szarobrązowe, grube, kształtem przypominają świdry lub śruby. Oplatają je smukłe liany i pnącza o dłoniastych liściach. Kolejne pnie nikną we mgle, która rozsuwa się na dalszym planie. Przed drzewami, po lewej, na niewielkim, porośniętym niskimi krzewami pagórku, stoi człowiek, prawdopodobnie mężczyzna, w pomarańczowym skafandrze i okrągłym hełmie. Dłonie ma splecione na plecach, twarz zwraca w kierunku gigantycznych drzew. Plecy skafandra pokrywają czarne linie. Krawędź hełmu jest podświetlona na pomarańczowo, przypomina rozświetloną od środka bańkę mydlaną.

Pagórek i sylwetka człowieka odbijają się w wodzie sadzawki znajdującej się w dolnej części obrazu. Powierzchnię wody pokrywają drobne zmarszczki.

Jarzący się pomarańczowo hełm i jego odbicie w wodzie wyraźnie kontrastują z resztą okładki.

Biały tytuł po prawej stronie, zajmuje 5/6 okładki. Ma kompozycję trójkątną. Napisy złożono prostą czcionką bezszeryfową. Każde z trzech słów ułożono pionowo w osobnej kolumnie, litera pod literą, jak słupki w wykresie, tak że „3.0” jest najniższe, „nano” średnie, a „Fantazje” najwyższe. Czcionka w słowach „3.0” i „Fantazje” jest pogrubiona.

Poniżej tytułu biała pozioma linia, rozpoczynająca się mniej więcej pośrodku szerokości okładki i kończąca na jej prawej krawędzi. Pod linią, rozpoczynający się na jej początku i kończący za słowem „Fantazje” napis kapitalikami: „antologia mikroopowiadań”.

Poniżej tytułu, przy dolnej krawędzi okładki, w jednej linii ze słowem „Fantazje”, białe logo Grupy Wydawniczej Fantazmaty. To znak graficzny składający się z kilkunastu linii. To deltoid - czworokąt złożony z dwóch trójkątów równobocznych, górnego i dolnego, które stykają się podstawami. Dolny trójkąt jest prostokątny, jego wierzchołek o prostym kącie skierowany jest w dół. Równe boki górnego trójkąta są dwa razy dłuższe niż w dolnym trójkącie. Wznoszą się w górę. Figura kształtem przypomina odwrócony do góry nogami latawiec lub diament. W czworokąt wpisano stylizowaną sylwetkę drzewa, także złożoną z białych linii. Dwie z gałęzi drzewa układają się w dużą literę F.

Ilustracja i liternictwo nawiązują do poprzednich antologii z serii nanoFantazje. Łączy je motyw przedstawionej z daleka, pomniejszonej w perspektywie sylwetki człowieka, zwróconej twarzą w stronę majaczącej w oddali ogromnej formacji. Tytuły złożone są podobnym krojem pisma, każde ze słów ułożone jest pionowo w osobnej kolumnie, z pogrubionym członem „Fantazje”.

Tej książki nie można kupić. Skąd więc się u Ciebie wzięła? Dowiesz się na przedostatniej stronie.

Na ostatniej stronie znajdziesz informacje o gatunkach opowiadań oraz listę tzw. „content warningów”, czyli treści, które mogą być kontrowersyjne lub niemile widziane.

SPIS TREŚCI

Przedmowa	13
Projekt Gepetto	15
Adam Raglan	
First we take Manhattan	23
Krzysztof Rewiuk	
Gdańsk 76	35
Marcin Popiel	
Skarb	43
Agnieszka Fulińska	
Śpij, królewno	53
Wiktor Orłowski	
Ludzkości historia prawdziwa	67
Adam Raglan	
Później	75
Błażej Jaworowski	
Kyfoum, czyli Słowa	87
Sylwester Gdela	

Mit założycielski _____	93
Marek Kolenda	
Córy Nieba _____	99
Joanna Kołakowska	
Na ławce _____	105
Łukasz Wojtylak	
Niebieski flaming grający na bongosach _____	109
Michał Brzozowski	
Nocny skowronek _____	121
Aleksandra Klęczar	
Dziesięć dni błękitu _____	131
Monika Fenc	
Sen o Eurydyce _____	145
Joanna Kołakowska	
Zagroda _____	149
Anna Sikarska	

Fantazmaty są tworzone przez:

Redaktorzy: Mateusz Bielecki, Anita Brzozowiec, Karolina Deryło, Agnieszka Janowska, Marta Karmowska, Michał Kowal, Magda Kowalewicz, Agnieszka Mohylowska, Malwina Niewielska, Katarzyna Pikosz, Agnieszka Przybyła-Wilkin, Justyna Szymkiewicz, Magdalena Świerczek-Gryboś, Agnieszka Wiatrowska, Dawid Wiktorski, Agata Żyła

Korektorzy: Maria Bernaciak, Karolina Deryło, Gabriela Gardoń, Dorota Gryka, Paulina Karbownik, Agnieszka Kolenda, Patrycja Kurczewska, Aleksandra Machnowska, Justyna Mroczek-Żal, Karolina Rogala, Magdalena Romańczyk, Beata Sagan-Szendzielorz, Ilona Skrzypczak-Żurawska, Klaudia Smulska, Pola Stawiany, Katarzyna Twarduś

Weryfikatorzy: Anita Brzozowiec, Aleks Gapski, Joanna Gasińska, Agata Graczyk, Paulina Karbownik, Magdalena Kłodowska, Marcelina Kopaczka, Magda Kowalewicz, Aleksandra Krasińska, Małgorzata Lisiecka, Paulina Miodyńska, Jakub Moroński, Malwina Niewielska, Patrycja Pancerz, Katarzyna Pikosz, Renata Rabczewska, Monika Skołożyńska, Anna Twarowska

Recenzenci: Aleks Gapski, Agnieszka Janowska, Julia Kasprzyk, Aleksander Killman, Patrycja Kurczewska, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Dorota Siodłak, Monika Skołożyńska, Pola Stawiany, Alicja Szalska-Radomska, Agnieszka Wiatrowska, Adam Wnuk, Karolina Wojciechowska

Audio: Magda Brumirska-Zielińska, Mieszko Keck, Aneta Kosno, Wojciech Pyttel, Piotr Rudzki, Anna Ryżlak, Witold Strugała, Kaja Witkowska, Katarzyna Ziółkowska

Graficy: Emilia Baczyńska, Marta Szymczyk, Wiktoria Makowska

Skład: Kinga Grodzka, Maria Nowak, Monika Mrozek

PRZEDMOWA

Krótkie teksty się nie opłacają. A jednak istnieją. I to wbrew tej karkołomnej ekonomii, którą mniej lub bardziej otwarcie uprawia większość z nas. Kręcimy nosem na widok ceny okładkowej, kalkulując, czy za te same pieniądze nie uda nam się nabyć czegoś treściwszego. Wyłuskujemy książkowe podarunki na podstawie tego, czy są dość okazałe. Myszkuje się za czymś, co wystarczy na dłużej, jakbyśmy rozpaczliwie gromadzili zapasy na długą zimę bez słów.

Tymczasem dobre opowiadanie wraca do nas echem, nawet to pochłonięte naprędce w drodze do pracy czy kolejce do lekarza. Zostawia w stanie podobnym do przebudzenia ze snu, niegotowych na gwałtowny powrót do rzeczywistości, choć jego przeczytanie zajęło nam ledwie kilka minut.

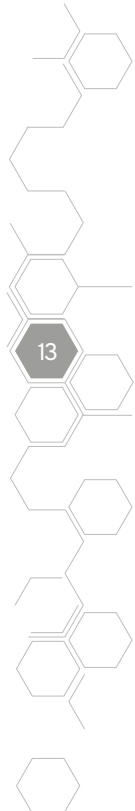
Krótkie formy to nie produkt kultury, w której nikt nie ma czasu czytać. Nie odpowiedź na naszą coraz trudniejszą do pochycenia uwagę. Ani też wprawka literacka czy próbka możliwości. To lek – na czytelniczny głód i słowne łakomstwo.

W Fantazmatach uważamy, że warto uprawiać opowiadania. Patrząc, jak zapuszczają korzenie, rozrastają się i wydają owoce w każdej przestrzeni, którą dla nich przygotowujemy. Wystarczy dać im trochę oddechu, nie poganiać, użyzyć odrobiny wyobraźni i namysłu.

W trzecim tomie mikroopowiadań, który właśnie czytacie, czternaścioro pisarzy i pisarek chce podzielić się z wami nowymi krótkimi tekstami z różnych fantastycznych gatunków. Wraz z autorami przygotowaliśmy je do tego najlepiej, jak umiemy. Teraz od was, czytelników, zależy, co się wydarzy.

Mamy nadzieję, że się przyjmą.

Marta Szymczyk



PROJEKT GEPETTO

Adam Raglan

Potężne mahoniowe drzwi otworzyły się i do sali wkroczyła delegacja z wytwornie ubranym karłem na czele. Towarzyszyło mu dwóch chłopców niosących skrzynię, której wieko zdobione było herbem Baśniowego Królestwa.


Karzeł zatrzymał się, zgodnie z etykietą skłonił nisko przed obliczem władcy, po czym się wyprostował i dumnie wypiął pierś. Król przyglądał mu się ze zdumieniem. Powiódł wzrokiem po ludziach zebranych z obu stron i wybuchnął śmiechem. W odpowiedzi usłyszał przebiegający dookoła chichot. Dostojni mężowie i bogato ubrane damy, niczym przypudrowane i obwieszane klejnotami stado hien, z ciekawością przyszli obejrzeć delegację pragnącą negocjować pokój. Szlachta miała nadzieję, że w wyniku wojny już niedługo powiększy swoje majątki i wzbogaci je o kolejne ziemie i pałace. Król rozsiadł się na tronie i podparł ręką brodę. Przypatrywał się przybyszom tak, jakby delektował się słodką przystawką przed czekającą go ucztą.

Chwila ciągnęła się w nieskończoność, lecz karzeł nawet nie drgnął. Cierpliwie czekał, aż dostanie pozwolenie na zabranie głosu.

– Sądziłem, że mam spotkać się z posłem – powiedział w końcu król, uciszyszwy gestem szepty zebranych.

– Jestem Mędrek, posłaniec królowej Śnieżki, zgodnie z oczekiwaniami jaśniepana – odrzekł karzeł. – Jako dowód przynoszę w wasze ręce





pieczęć królewską. – Zdjął z szyi srebrny wisior, po czym zrobił krok do przodu, chcąc okazać go monarsze na wyciągniętych dłoniach.

Zabrzęczała stal i przed królem pojawili się gwardziści broniący karłowi dalszej drogi. Władca zaśmiał się jak z dobrego dowcipu.

– Posłem jesteś? – zapytał. – Ty? Doprawdy, albo twoja królowa drwi ze mnie, albo próbuje mnie udobruchać poczuciem humoru. – Ponownie rozejrzał się po zebranych. – I wiesz co? Ja wierzę w jej dobre intencje. Bądź co bądź nie jest tajemnicą, że niezależnie od mnóstwa rzeczy, które nas dzielą, łączy nas z pewnością upodobanie do karłów. – Zaakcentował ostatnie słowa, a w odpowiedzi sala zadrżała ze śmiechu. – Nie ma lepszych błaznów! Więc przejdźmy już może do sedna. Wstęp był nie najgorszy. Kontynuuj. – Nagląco machnął na niego ręką. – Chcę się pośmiać!

Karzeł stał z pieczęcią w dłoniach, zachowując kamienną twarz. W końcu uniósł nieznacznie podbródek, założył wisior ponownie na szyję i skinął lekko głową. Chrząknął, żeby oczyścić gardło.

– Królowa Śnieżka wysłała mnie z poselstwem, abym przekazał w jej imieniu jaśniepanu, iż spodziewamy się natychmiastowego zawrócenia wojsk waszej ekscelencji spod granic Baśniowego Królestwa i zaprzestania niepokojenia mieszkańców naszych wiosek i miast.

Zdumione westchnienie wyrwało się kilku osobom z piersi. Razem z nim po sali przeszedł drwiący szept i kilka nieskrywanych chichotów.

– Wyborne! – zawołał uradowany władca i uniósł ręce, aby zachęcić zebrany tłum do śmiania się na głos razem z nim. Wiele już w tej komnacie widziano, ale takiej arogancji ze strony zapędzonego w kozi róg sąsiedniego państewka nikt się nie spodziewał. – Nie przerywaj!

– Żądamy również traktatu pokojowego i paktu o nieagresji – kontynuował karzeł, ignorując wytykanie go palcami i udając, że nie słyszy obelg kierowanych pod jego adresem. – Na ręce waszej ekscelencji chciałbym w tym miejscu złożyć także listę oczekiwań królowej Śnieżki co do dalszej współpracy naszych królestw na polu handlowym i militarnym. – Sięgnął za pazuchę i wyjął złożoną tubę, z której bez pośpiechu wyciągnął dokumenty naznaczone herbem.

– Żądamy! – Król wręcz płakał ze śmiechu. – Lista... oczekiwań! Piękne, piękne... Ale dalej, pokaż, co tam masz w kuferku. – Wskazał skrzynię stojącą za Mędrkiem. – Kręgle! Założę się, że będzie zaraz zonglował! – wykrzyknął, rozglądając się po zebranych, którzy potakiwali mu i wykazywali zniecierpliwienie w oczekiwaniu na moment, kiedy okrutnie rozprawią się z roszczeniowymi przybyszami.

Igrzysk. Pragnęli igrzysk, a on zawsze wiedział, jak im je zapewnić. Szlachcice otoczyli delegację ze wszystkich stron. Mędrkowi wydawało się nawet, że zacieśniają krąg, jeszcze bardziej upodabniając się do drapieżników tylko czekających na pozwolenie, aby rzucić się na zdobycz.

– Ach, to? – Karzeł spojrzął za siebie, a wyraz jego twarzy nieznacznie się zmienił. – To podarunek od królowej – powiedział z uniesioną brwią. – Jednakże przekazanie go waszej ekscelencji polecono mi uzależnić od przebiegu naszych negocjacji.

Król zastygł na chwilę i zmrużył oczy.

– Chcesz powiedzieć, błażnie, że królowa chce mnie przekupywać prezentami? – Na obliczu władcy pojawił się wyraz okrucieństwa. – Że przynosisz mi podarunek, o którym TY, takie małe pokraczne stworzenie, masz decydować, czy na niego zasłużyłem?

Na sali zapadła cisza, lecz złość władcy zdawała się nie robić na karle wrażenia. W odpowiedzi wręcz wyprostował się jeszcze bardziej, jakby zaraz chciał stanąć na palcach.


– Nie było moją intencją ani intencją królowej, by ubliżyć waszej ekscelencji. Chodzi po prostu o... rodzaj tego podarunku. Mógłby być wielce niestosowny, gdyby nasze negocjacje jednak...

– Dalej! Pokaże, co tam masz! – przerwał mu król. – Chcę to zobaczyć!

Mędrzek zawahał się, jakby nie był pewny, czy dobrze usłyszał polecenie, ale w końcu drgnął, marszcząc lekko brwi.

– To coś bardzo wyjątkowego – powiedział, po czym podszedł w końcu do skrzyni i stanął za nią, twarzą do króla. – Stworzonego specjalnie z myślą o jaśniepanu i waszych poddanych.

– Jestem niezmiernie ciekaw, co też mogło przyjść do mnie wraz z tak roszczeniowym posłem.



Karzeł bez skrupułów spojrzał królowi w oczy.

– Otwórzcie – polecił chłopcom, nie odrywając wzroku od monarchy.

Trwał na swoim miejscu nieporuszony, kiedy rozległo się ciche skrzypnięcie wieka. Zgromadzeni w sali wychylili się, żeby dojrzeć zawartość skrzyni, lecz ani Mędrek, ani żaden z pachotków nie fatygowali się do wyciągnięcia czegokolwiek ze środka.

Kolejny szmer przebiegł po zebranych, zagłuszając tym samym delikatne klekotanie, które dobyło się z wnętrza kufra. Jeszcze przez chwilę nic się nie działo i król już chciał skinąć na jednego ze swoich strażników, kiedy spostrzegł wyłaniającą się rękę.

Na pierwszy rzut oka wyglądała na drobną, dziecięcą dłoń, niemniej daleko jej było do normalności. Pokryta została cienką irchą zamiast ciepłej ludzkiej skóry. Pod nią natomiast nie znalazłoby się sieci żył, ścięgien i kości, tylko równie idealnie współgrające ze sobą i starannie wykonane dębowe pałeczki z jedwabnymi nićmi. Zginały się i ruszały zupełnie jak ludzkie, choć nic ludzkiego w nich nie było.

Dłoń zacisnęła się na krawędzi skrzyni, z wnętrza której zaczęła wynurzać się szczupła sylwetka rzeźbionego w drewnie chłopca. Zgromadzeni na sali zamarli, a król aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Naraz zbłądł, nie wiadomo, czy ze złości, czy ze strachu. Ktoś zemdłał, ktoś coś krzyknął przestraszony i kilka osób zaczęło niespokojnie kierować się ku wyjściu. Za nimi ruszyli następni, a wkrótce wszyscy gotowi byli rzucić się do drzwi.

– Stać! – zawołał. – Wszyscy stać! – Uderzył pięścią o poręcz tronu. – Niech nikt, ale to nikt nie waży się opuścić tego miejsca bez mojej zgody!

Ludzie zatrzymali się posłusznie, lecz panika wciąż w nich narastała. Zaczęto szlochać. Odsuwano się jak najdalej od karła i skrzyni, w której stała ożywiona kukielka. Mędrek za to patrzył na króla kompletnie nieporuszony. Zdawał się nawet nie mrugać i to właśnie jeszcze bardziej przerażało władcę.

Zrozumiał, że karzeł już się pogodził...

– Jakim cudem?! – Król wskazał na lalkę rozglądającą się dookoła z zaciekawieniem. – Przecież on... Przecież on...

– Pinokio – wtrącił karzeł. – To oczywiście nie TEN Pinokio. Ależ skąd. To Pinokio Drugi. Mamy nadzieję, że ostatni. Wasza ekscelencja nie zdaje sobie sprawy z tego, jak kosztowna jest ich produkcja.

Władca zasapał ze złości.

– Czego chcecie?! – zapytał.

– Oto lista. – Na powrót wyciągnął przed siebie złoconą tubę.

Król machnął na pachotka, który ociągając się i nie spuszczać oka z kukielki, podbiegł do karła, wziął od niego papiery i wrócił, by czym prędzej przekazać je swojemu panu. Ten zaczął czytać pod nosem, a z każdym kolejnym zdaniem nozdrza drżały mu coraz bardziej.

– Co to jest?! – krzyknął.

– To lista naszych oczekiwań. Wasza ekscelencja rozumie, ale kolejny Pinokio kosztował nas naprawdę wiele. Wróżki też sobie liczą. Królowa Śnieżka oczekuje, że jaśniepan zgodzi się na tę drobną rekompensatę.

– Drobną rekompensatę?! To jest... To jest... – Zamachał kartkami w stronę lalki przyglądającej mu się teraz z zainteresowaniem. – To się będzie równać wypowiedzeniu wojny! Waszemu wypowiedzeniu wojny!

– Absolutnie – zaprzeczył karzeł. – W końcu zostałem tu wysłany, aby negocjować podpisanie traktatu pokojowego.

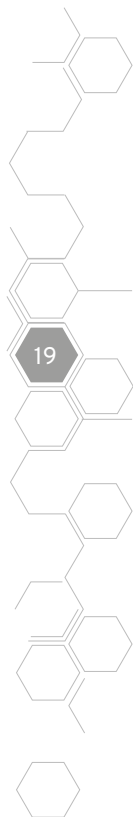
– To jest potwarz!


– Niech wasza ekscelencja się poważnie namyśli i nie podejmuje pochopnych decyzji.

Krzyżowali swoje spojrzenia, gdy część zebranych już zdążyła ukradkiem opuścić salę. Nadaremnie. I tak niewiele mogło to pomóc.

Król na przemian bladł i czerwieniał, nie spotkawszy się do tej pory z takim traktowaniem. Nie on, przed którym klękały narody, a któremu teraz kazano klęknąć przed... błaznem! O nie, nie on!

– To jest błąd! – krzyknął. – To jest podły podstęp! Nie mogliście stworzyć kolejnego Pinokia! Drugi?! – Chciał się zaśmiać, jednak zabrzmiało to niezwykle histerycznie. – Drugi?! – Spróbował ponownie, lecz efekt był jeszcze gorszy, co tylko bardziej go rozżłościło. – Brać ich! – rozkazał strażnikom.





Mężczyźni w zbrojach natychmiast ruszyli z miejsca, ale nie mieli najmniejszej szansy, by zdążyć na czas. Kukiełka potrzebowała zaledwie dwóch sekund i nie wahała się ani chwili. Była w końcu mądrym chłopcem i wiedziała, kiedy wypada, a kiedy nie należy się odzywać.

Mędrzek przytknął tylko oczy i po raz ostatni wypiął dumnie pierś. Tego się niestety spodziewał. Lecz Śnieżka... Ona zasługiwała na wszelkie poświęcenie.

W imię królowej i pokoju – pomyślał.

Krzyk, jaki wybuchł wśród ludzi, ponownie zagłuszył kukiełkę, która zamknęła oczy i powiedziała tylko:

– A teraz urośnie mi nos.

Ledwo skończyła, gdy poczynając od idealnie wyszlifowanego czubeczka jej dębowego nosa, zaczęła zapadać się w siebie. Głowa, ręce, tułów i w końcu cały Pinokio. Zaraz za nim, jakby zasysane przez potężną siłę, zaczęły zapadać się dywany, podłoga, stojący najbliżej chłopcy wraz z Mędrkiem i wielką skrzynią, aż w końcu król, okna, ściany, cały zamek i wszystko w promieniu jeszcze kilku kilometrów. Cała okolica była wciągana przez nieskończoną siłę paradoksu i przenoszona w zupełnie inne wymiary. Ziemia ścisnęła się i niknęła z nieprzyjemnym trzaskiem w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała kukiełka. Aż w końcu dwa obce sobie dotąd drzewa zbliżyły się do siebie, stuknęły korzeniami i wszystko ucichło.

Zamknął się świat nad Pinokiem Drugim i wszystkim, co zabrał ze sobą. Stolica wraz z zamkiem i kilkoma okolicznymi wsiami po prostu przestała istnieć.

Między pniami dało się nagle słyszeć ciche pyknięcie i w kłębach kolorowego dymu pojawiły się niewielkie istoty furkoczące delikatnymi skrzydełkami.

– Melduj! – krzyknęła jedna z nich, przyjmując wojskową postawę.

Pozostałe wróżki ustawiły się w szyku, po czym posłusznie zaczęły streszczać przebieg ataku, który oglądały z bezpiecznej, eterycznej przestrzeni.

– Do rozesłania komunikatów, rozejść się! – rozkazała pierwsza istota i wszystkie rozleciały się w różne strony, aby po raz kolejny ponieść

w świat wieści o nieudanych negocjacjach i kolejnym wielkim kroku postawionym w kierunku światowego pokoju.

Staruszek odłożył dłuto i spojrzął na nieskończone jeszcze dzieło. Najtrudniej zawsze było z dłońmi. Cokolwiek by robił, efekt nigdy do końca go nie satysfakcjonował. Cienka skórka, którą nakładał, zdecydowanie poprawiała efekt wizualny, lecz kukielka dalej pozostawała tylko kukielką. Ze swoimi drewnianymi, kukielkowymi dłońmi.

Westchnął i zaczął powoli sprzątać warsztat. Od jakiegoś czasu niemal w nim mieszkał. Całkowicie poświęcił się pracy. I dobrze. Miał swój cel, miał dla czego żyć. Służył królowej i królestwu najlepiej, jak potrafił. On i jego „mali chłopcy”.

Pamiętał, jak wyglądały wojny przed nimi. Istna mordęga trwająca latami. Choroby, zarazy, żyzne ziemie zamieniane w cmentarze i morza krwi. Ludzie żyjący w strachu i wysiedlani z własnych domów... Nie, teraz jest zdecydowanie lepiej. Teraz już żadnych wojen nie będzie. Zdecydowanie lepiej.

Zdjął fartuch, strzepnął wiórki ze stołu rzemieślniczego i ostatni raz rzucił okiem na pracownię. Chociaż tyle może zrobić dla ludzi. Chociaż tak może pomóc zaprowadzić na świecie ład i szczęście, zwalczyć wszelkie bestialstwo. Uśmiechnął się do siebie i zgasił lampę, pozostawiając w ciemności kilkanaście kolejnych, czekających na wykończenie kukielek.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Anita Brzozowiec

Weryfikacja redakcji: Patrycja Pancierz

Korekta: Klaudia Smulska, Ilona Skrzypczak-Żurawska, Katarzyna Twarduś, Agnieszka Kolenda

Weryfikacja: Paulina Karbownik, Aleksandra Krasieńska



Kontrola weryfikacji: Dawid Wiktorski

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Anna Baj, Aleksander Killman, Anna Sikorska

FIRST WE TAKE MANHATTAN

Krzysztof Rewiuk

*I'm guided by a signal in the heavens
I'm guided by this birthmark on my skin
I'm guided by the beauty of our weapons*

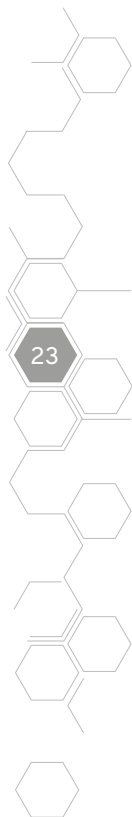
Leonard Cohen


Kioto, marzec 1945 r.

Jego prawe, mechaniczne ramię wyrwało się sztywno do przodu i nieco w górę. Tylko nieco, bo wbudowane radioczuJNIki bezbłędnie dostosowały wysokość gestu pozdrowienia do wzrostu gospodarzy. Równocześnie, zapomniawszy o tym, że buty zostawił na zewnątrz, Gross spróbował stuknąć obcasami.

W odpowiedzi żółtki zgięły się w ukłonie, idealnie pod kątem prostym. Im niżej się pochylali, tym silniejsze miał wrażenie, że z niego kpią. Był pewien, że gdy nie widzi ich twarzy, uśmiechają się bezczelnie pod nosem.

Opuścił rękę i skinął głową. Trzy sylwetki, jakby zsynchronizowane, wyprostowały się na moment, by zaraz ponownie pochylić plecy równoległe do podłogi. Zrobił krok do przodu. Japończycy kolejny raz powtórzyli swój układ.





Heisenberg musiał rzeczywiście być w kiepskiej formie, kiedy polecił mi nawiązać kontakt z tymi idiotami – pomyślał Heinrich, przymykając zmęczone podróżą oczy.

– Herr Gross, miło mi pana w końcu poznać! W swoich listach Werner wypowiadał się o panu w samych superlatywach! – Środkowy kurdupel w sztuczkowych spodniach nie wiedzieć kiedy postanowił przerwać rytuał ukłonów.

Heinrich zamrugał na odgłos nieskalanej akcentem niemczyzny i z uwagą przyjrzał się twarzy rozmówcy. Szkła w okrągłych drucianych okularach sprawiały, że ukryte za nimi skośne oczy wydawały się nienaturalnie duże, a towarzysząca ruchom głowy gra odbłasków miała w sobie coś figlarnego, nielicującego z wysokim czołem i zaciśniętymi ustami.

Jak dziecko ukryte w starym ciele – pomyślał Gross. Niebezpieczne dziecko, które bawi się niebezpiecznymi zabawkami...

– Dziwi pana moja znajomość mowy Goethego? – Gospodarz zdawał się czytać w jego myślach. – Studiowałem w Heidelbergu, u Lenarda.

– Profesor Hitotsuishi? – upewnił się Heinrich.

– Czyż nie przebył pan kilkunastu tysięcy kilometrów, z przesiadkami za kołem podbiegunowym i na mandżurskim stepie, żeby się ze mną zobaczyć? – Kąciki ust uniosły się tylko nieznacznie, ale w oczach tańczyły setki wesołych diabełków. – Proszę poznać moich asystentów.

Dwie sztywne sylwetki po bokach profesora powtórzyły głęboki ukłon. Heinrich tym razem odpowiedział nieco dłuższym skinieniem głowy.

– Profesorze, zdaje pan sobie sprawę z tego, że moja misja ma ściśle tajny charakter?

– Bez obaw, Herr Gross. Wbrew pozorom nie żyjemy tu jak na wyspie. – Japończyk wydawał się bardzo zadowolony z tej gry słów. – Mamy świadomość tego, jak wygląda sytuacja na froncie w Europie i jak ważne są w tej chwili wyniki prac pańskiej grupy.

– Ale... – Gross dyskretnie wskazał na towarzyszących profesorowi asystentów.

– A, oni! – Hitotsuishi szybko zamrugał. – Nimi proszę się nie przejmować. Niech pan sobie wyobrazi, że ich tu w ogóle nie ma.

Następny synchroniczny ukłon miał prawdopodobnie ułatwić Heinrichowi zrozumienie, że obaj asystujący profesorowi naukowcy stanowią jedynie elementy sprawnie działającej maszyny instytutu. Coś jak jego własne stalowe ramię. Hitotsuishi kontynuował:

– Werner pisał, że w swoich pracach znalazł się w poważnym impasie. To, że uznał, iż mogę być mu pomocny, poczytuję sobie za osobisty honor. A zatem, Herr Gross, cała japońska wiedza fizyczna, nie tylko współczesna, a także tysiące lat naszej tradycji są do pańskiej dyspozycji. Ma pan ze sobą notatki?

Heinrich wahał się jeszcze przez moment. Spojrzał kolejny raz na bliźniaczych asystentów i zrezygnował z dalszego oporu. Był w końcu tylko żołnierzem, a w formacji, w której teraz służył, Hitotsuishi zajmował jednak wyższe stanowisko. Sięgnął lewą dłonią do skórzanej rękawiczki, pokrywającej zakończenie mechanicznego ramienia, i zaczął ją odkręcać z mocującego gwintu.

– Mikrofilmy? – zapytał wyraźnie podekscytowany profesor.

Gross pokręcił głową.

– Taśma magnetyczna?

– Przereklamowana i zawodna. Poza tym nasz wywiad donosi, że Sowieci już coś kombinują z gigantycznymi elektromagnesami, niszczącymi takie dane na odległość.


– A więc?

Heinrich odłożył na stół odkręconą końcówkę protezy i sięgnął dwoma palcami do środka stalowego przedramienia. Wyciągnął z wnętrza pasek różowego papieru znaczony regularnie wyciętymi otworkami.

Hitotsuishi pokiwał głową z aprobatą.

– Taśma perforowana! Klasyka i piękno!

Heinrich rozejrzał się po pomieszczeniu. Profesor zrozumiał, czego gość szuka, i wskazał na jedną z szaf obliczeniowych. Gross podszedł do maszyny, odnalazł szczelinę czytnika i wsunął do środka koniec paska. Urządzenie zamruczało i zaczęło wciągać taśmę wysuwającą



się stopniowo z metalowego przedramienia. Heinrich przez chwilę obserwował wędrówkę danych, a przesuujące się powoli geometryczne wzorki układały się w jego myślach w równania, przy których tworzeniu pomagał Heisenbergowi. Odwrócił wzrok – Japończycy nie musieli wiedzieć, że potrafi czytać kod równie szybko jak ich maszyna.

Hitotsuishi, nie czekając na koniec transmisji, podszedł do stojącego obok blatu dalekopisu, wsunął do poziomej szczeliny kartkę i uruchomił drukarkę. Przyciski klawiatury zaczęły tańczyć, jakby uderzane palcami niewidzialnego matematycznego wirtuoza, a kolejne linijki odczytanych równań odbijały się na papierze. Profesor wyrывał z urządzenia coraz to nowsze zadrukowane karty i przeglądał je gorączkowo. Czytnik wciągnął do środka ostatni perforowany odcinek taśmy, a Heinrich szarpnął ramieniem, zrywając łączącą go z maszyną pępowinę. Po chwili drukarka umilkła.

Profesor podniósł wzrok znad trzymanego w ręce pliku i spojrzał na Grossa.

– Ciekawe, rzeczywiście ciekawe. Ale wróćmy do tego problemu jutro. Teraz mamy niestety zaplanowane spotkanie z przedstawicielem Cesarskiej Marynarki.

Dwaj asystenci spojrzeli po sobie.

– Zresztą myślę, że powinien pan trochę odpocząć.

Heinrich odwrócił się, podszedł do stołu, wziął swoją skórzaną dłoń i zaczął ją przykręcać do prawej ręki.

– Widział pan już wiśnie? – zapytał Hitotsuishi za jego plecami.

– Nie miałem okazji.

– Powinien pan zobaczyć jak najszybciej. W nocy może spaść deszcz i będzie po wszystkim. Moja córka pana oprowadzi.

Jedyne, na co Heinrich miał teraz ochotę, to jak najszybciej pojechać do hotelu i odespać męczącą podróż.

– Nie wiem, czy to wypada, żebym tak spacerował z obcą kobietą. – Próbował się wymigać.

Asystenci profesora wydawali się z jakiegoś powodu bardzo rozbawieni tymi słowami.

- Spokojnie, wszyscy tutaj wierzymy w honor niemieckiego żołnierza - odpowiedział Hitotsuishi.

Smarkula miała trzynaście, może czternaście lat, ale udawała starszą. Po niemiecku mówiła równie płynnie jak jej ojciec.

- Jak mam się do pana zwracać? Herr Gross? Panie poruczniku? - dopytywała, zadzierając głowę.

- Wystarczy Heinrich.

- Ja jestem Sakura. To po japońsku znaczy wiśnia.

Gross był przekonany, że wszystkie Japonki chodzą w kimonach. Tymczasem dziewczyna ubrana była w prostą, czerwoną sukienkę na szerokich ramiączkach, spod której wystawała biała bluzka. Na gołych stopach miała czarne buciki. Gdyby nie rysy twarzy, wyglądałaby jak zwykła niemiecka uczennica.

- Ładne imię. - Starał się być miły.

- Nie lubię go! - zareagowała gwałtownie. - Jest bardzo popularne. Zwłaszcza teraz, podczas wojny.

- Dlaczego?

- Zrozumiesz, gdy zobaczysz - odparła tajemniczo.

Przyjrzał się jej twarzy. Oczy miała dorosłe, mądre i poważne, niepodobne do oczu ojca.

- Co ci się stało w rękę? - Wskazała na jego protezę.


Jednak była jeszcze dzieckiem. Tylko dzieci nie wstydziły się pytać.

- Byłem ranny. Podczas ostrzału pod Stalingradem. Prawie zginąłem. Żeby mnie uratować, musieli mi obciąć rękę w barku. Trafiłem potem do specjalnego ośrodka. Przyniesli mi mechaniczną protezę i wszczepili do głowy coś, co nią steruje. - Postukał palcami w metalową płytkę na skroni. - Musieli włożyć tam coś więcej, bo po operacji okazało się, że potrafię bardzo szybko liczyć w pamięci. Nie wróciłem już na front, zostałem w tym ośrodku, żeby pomagać naukowcom.

Nie był pewien, czy zrozumiała. Sam nie wszystko pamiętał.

First we take Manhattan





Zaprowadziła go do ogrodu. Teraz pojął, dlaczego ludzie przed wojną specjalnie odwiedzali Japonię wiosną. Stał obok dziewczyny na początku kamiennej ścieżki, prowadzącej między dwoma rzędami kwitnących drzew. Gałęzie u góry pochylały się, zamykając sklepienie różową chmurą. Świeżo opadłe płatki tworzyły pod stopami puszysty kobierzec.

– Weźmiesz mnie pod rękę, Heinrich? Będziemy spacerować jak europejscy turyści.

Zgiął protezę w łokciu i odsunął trochę od tułowia. Sakura wślizgnęła się szczupłą rączką pod jego pachę i położyła dłoń na stalowym przedramieniu. Nie czuł dotyku, ale przez mundur docierało do niego ciepło jej ciała. Zapach, jeżeli cokolwiek pachniała, ginął w woni kwitnących drzew.

Przez chwilę zapragnął poczuć się jak żołnierz daleko od domu, spędzający krótką przepustkę w obcym mieście. Jak ktoś, kim był przed wypadkiem. Sięgnął wolną ludzką ręką nad głowę, zerwał kawałek gałązki z kwiatem i wpiął dziewczynce we włosy.

Odpowiedziała uśmiechem. Miała bardzo ładny uśmiech.

– Jak dobrze być Dużym w Japonii! – zażartowała.

Jego nowe ramię nadawało się do salutowania, do strzelania, do zabijania. Nie potrafił nim objąć dziecka. Ani dziewczyny.

Mijające ich kobiety zatrzymywały się na chwilę i mierzyły go wzrokiem. Nie umiał odczytać wyrazu obcych i tak bardzo podobnych do siebie twarzy.

– Robimy coś nie tak?

Przylgnęła mocniej do jego boku.

– Po prostu mi zazdroszczą. Wszyscy nasi mężczyźni wyjechali na front.

Uśmiechnął się. To jeszcze był w stanie jej ofiarować.

– W górach Szwarcwald, tam, gdzie się urodziłem i wychowałem, też rosną takie drzewa – powiedział.

– Chodźcie je podziwiać?

– Nie.

- To co robicie?

- Zrywamy dojrzałe, prawie czarne wiśnie. Nic się nie marnuje. Niemcy to bardzo praktyczny naród. - Przycisnął mocniej jej ramię. - Miażdżymy je w ogromnych kadziach. Oddają sok, fermentują. Potem destylujemy z nich alkohol. - Teraz czuł na wysokości żeber, że dziewczyna poprawia rękę, ale nie złuzował uścisku. - Powstaje trunek przejrzysty niczym łyzy bogów. Trzymamy go w jesionowych beczkach, wylanych od środka parafiną, tak żeby drewno nie skalalo jego czystej barwy. Pijemy go co wieczór i opowiadamy sobie różne historie.

- Jakie historie?

- Na przykład o Czerwonym Kapturku i złym, żelaznym wilku! - Zmarszczył groźnie brwi i wyszczerzył zęby.


Pisnęła z przestachem. Jej chude ramię wyślizgnęło się z uchwytu. Odskoczyła na dwa kroki i szybko spoważniała.

- Znam tę bajkę, tata studiował w Niemczech. Ale tu jest inaczej. Nasze wiśnie nie rodzą owoców. Ich kwiaty spadają na ziemię po kilku dniach. Patrzymy, jak umierają, i rozmyślamy o kruchości życia i naszych planów - wyrecytowała wyuczoną lekcję.

Musiał chyba powiać wiatr, bo nagle z gałęzi przed nimi rzeczywiście zaczęły opadać płatki. Zmierzały ku ziemi po równoległych trajektoriach niczym koraliki trójwymiarowego liczydła. Albo jak otworki w rzędach taśm perforowanych. Heinrich odruchowo wyłapywał w kaskadzie różowych cętek znane konfiguracje, próbował łączyć je w logiczne ciągi. Przesunął się nieco w bok - obserwowane pod odmiennym kątem niosły zupełnie nowe informacje. Przykucnął - jeszcze coś innego. Nie potrafił równocześnie ogarnąć całości obrazu ze wszystkich perspektyw, a jednak był przekonany, że ta całość istnieje i wyraża głęboką logikę. Zrobił jeszcze jeden krok w lewo i poczuł szarpnięcie. Sakura znów trzymała go za rękę, patrząc na niego ze zdumieniem. Zawstydził się swojej reakcji, tego, jak myśli, czym się staje.

Dziewczyna nie odrywała wzroku od jego twarzy. Płatki osiadły na jej włosach i ramionach niby konfetti; kilka przykleiło się do nosa i policzków.

First we take Manhattan



- To ciekawe, co mówisz. O tym, co robicie z waszymi wiśniami.
Przypomniał mi się stary wiersz.

- Powiedz - poprosił, starając się ukryć zmieszanie.

- Nie, bo będziesz się śmiał.

- Nie będę, obiecuję.

Oblizła wargi i wzięła głęboki oddech.

- Czemu tak różne wspomnienia niosą zwiewne kwiaty wiśniowe?

Milczał. Wzruszyła ramionami.

- To wszystko. Nasze wiersze są krótkie.

- To ładny wiersz - przyznał.

- Mógłbyś zostać moim chłopakiem.

Nie był pewien, czy się nie przejęczyła. Nie chciał jej jednak sprawiać przykrości.

- Może kiedyś, po wojnie...

Nie odpowiedziała.

Odważył się spojrzeć jej w oczy. Patrzyła na niego śmiało, bez zawstydenia. Wojenne dzieci tak szybko dorastają.

- Skąd wiesz, że ją przeżyjemy?

- Herr Gross, proszę się skupić! Wydaje się pan dziwnie rozkojarzony.

- Przepraszam, to przez to zmęczenie.

- Nie wyspał się pan w nocy? - Hitotsuishi podniósł wzrok znad rozłożonych na biurku wykresów.

Byli w gabinecie sami. Rano ogłoszono alarm bombowy. Między opuszczonymi żaluzjami wpadały do wnętrza prążki zimnego światła. Pojedyncza lampa oświetlała drewniany blat.

Heinrich przetarł powieki lewą dłonią. Unikał wzroku rozmówcy, jak mógł.

- Późno wróciłem do hotelu, nie mogłem zasnąć.

Profesor pokręcił głową z dezaprobatą. Nie wydawał się już tak przyjazny jak wczoraj. Heinrich kolejny raz sięgnął po kubek z kawą, upił łyk i wskazał na jedną z kartek.

- Tutaj. Z tym fragmentem równania mamy problem. Nie potrafimy określić energii wymaganej do zapoczątkowania procesu.

Hitotsuishi poprawił okulary, zbliżył papier do oczu, kilkakrotnie przebiegł druk wzrokiem i odłożył go na biurko. W zamyśleniu przysunął wcześniejszą stronę, pochylił się nad nią i postukał palcem.

- Widzę. Te założenia są po prostu zbyt szczegółowe. Musicie z nich zrezygnować.

- Nie rozumiem.

- Atom nie działa jak pańskie ramię, to nie jest prosta mechanika. - Patrzył teraz na Grossa znad opuszczonych okularów. - Ta reakcja jest jak kwitnące wiśnie. Obserwujemy je od setek lat, ale nigdy nie wiemy, kiedy danego roku to się dokładnie zacznie. - Pokiwał głową i podszedł do okna. Odwrócił się, światło wpadające przez szczelinę otaczało jego sylwetkę delikatną poświatą. - Pierwsze pokrywa się kwiatami jedno drzewo na południowym wybrzeżu Okinawy. Potem kolejne i kolejne, różowa fala się rozpędza, zajmuje następne wyspy, nie daje się już powstrzymać. Znamy jej kierunek, tempo, w jakim się rozszerza, ale samego początku nigdy nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

- Dalej nie wiem, do czego pan zmierza.

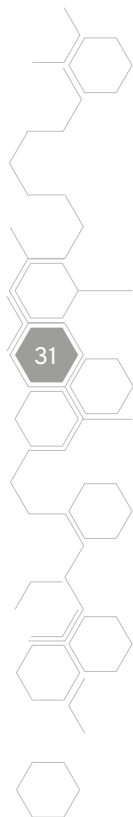
Świetlista postać machnęła ręką.


- Bo wy, Niemcy, chcielibyście mieć wszystko pod kontrolą. A ten proces jest jak boski wiatr: człowiek może tylko nasłuchiwać, z której strony zawieje, i podążać za nim... lub zginąć. Nie wszystko da się zaplanować, ująć w liczby...

Heinrichowi przez moment wydawało się, że rozumie, o czym mówi profesor. Przypomniał sobie rzędy cyfr wypływane przez stalową maszynę i zagubione, blade płatki na spoczonej skórze.

- Proszę przekazać Heisenbergowi, że jego bomba jest jak kwitnące drzewo. - Hitotsuishi przerwał na chwilę i zrobił krok w stronę Grossa. - Albo jak dziewczęcy uśmiech. Jeśli chce ją zbudować, musi się z tym pogodzić.

First we take Manhattan





- Poleciał? – upewnił się Hitotsuishi.

- Powinien być już w połowie trasy do Harbinu.

Profesor pokręcił głową.

- Przed nim jeszcze długa droga do domu. Trzymajmy kciuki, żeby szczęśliwie dotarł do Berlina.

Asystenci posłusznie zacisnęli pięści. Hitotsuishi zebrał leżące na stole kartki, wyrównał plik i ruszył w stronę sejfu z dokumentami.

- Heisenberg był bliżej rozwiązania, niż myślałem. Zdążyliśmy wejść do gry w ostatnim momencie. Teraz, gdy nasz półmechaniczny przyjaciel dostarczy Niemcom moje sugestie, ugrzęzną na miesiące w jałowych, pseudofilozoficznych rozważaniach.

Jeden z asystentów pokręcił głową.

- Zawsze to jednak sojusznicy...

- Sowieci też mieli kiedyś sojusz z Trzecią Rzeszą. Myślicie, że gdyby Hitler dysponował taką bronią, byłby w stanie w którymś momencie pohamować swój apetyt?

- Jest pan pewien, że uwierzą w te bajki o drzewach i kwiatach? – zapytał drugi z asystentów.

Profesor zatrzaskał drzwiczki sejfu i przekręcił klucz.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Mistyka Dalekiego Wschodu zawsze robiła na nich duże wrażenie. A czerwone sukienki działają na żołnierzy na całym świecie.

- Zostają jeszcze Amerykanie...

- Amerykanie są głupszy nawet od Niemców. Nie przeskoczą tego problemu. Za to my, dzięki równaniu Heisenberga, najpóźniej za pół roku będziemy gotowi z własną bombą.

- I co wtedy?

- To proste – odparł Hitotsuishi. – Najpierw weźmiemy Manhattan, później przyjdzie czas na Berlin.

Asystent zaśmiał się nerwowo.

- Co cię tak śmieszy?

- Brzmi jak tytuł amerykańskiej piosenki, profesorze.

A wiśnie tego roku kwitły tak pięknie, jak nigdy później.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Anna Dudało, Ela Raj

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Kinga Grodzka, Aleksandra Buczyńska, Kaja Jaroszevska,
Magdalena Kłodowska

Weryfikacja: Patrycja Panczerz, Joanna Gasińska, Anna Twarowska,
Magda Kowalewicz

Kontrola weryfikacji: Michał Gola, Anita Brzozowiec

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski


Recenzje: Anna Baj, Aleksander Killman, Joanna Stoga, Piotr Mers

GDAŃSK 76

Marcin Popiel

Gdańsk 76. Tablica mignęła w ciemności jak skrawek nieba. Do domu mniej niż setka. Już mi się dłużyło, mimo że straciłem rachubę czasu. Byłem w tym moim transie łykania kolejnych kilometrów, gum do żucia, energetyków, papierosów i ulubionych kawałków techno. Dłużyło mi się, mimo że jechałem w nocy. A przecież to królowa wszystkich moich tras, ta nocna Kraków – Gdańsk. Szeroka, równa jak stół, pięknie oznakowana i zadbana. Przy węzłach oświetlona, ale wszędzie poza nimi spowita mrokiem, często mgłą. Elegancka i łagodna w zakrętach, idealna, by zapiąć tempomat i mknąć przed siebie jak pocisk.

Ale nie o gładki asfalt tu chodzi, nie o równo wymalowane linie, eleganckie latarnie czy świetnie wyprofilowane zakręty. Tu chodzi o obserwowalny wszechświat; jego granice kurczą się tak bardzo, że zostaję sam w małej, blaszanej banieczce ciepła, z aureolą światła mijania, otoczony ciemnością i szumem. Oni wszyscy są bardzo daleko, a ja – otoczony grubą, czarną zasłoną – w ogóle dla nich nie istnieję. Byłem w punkcie A na południu, pojawię się później w punkcie B na północy. W międzyczasie mnie nie ma i bardzo mi to odpowiada. Pewnie dlatego, że nikt nic ode mnie nie chce – przecież jestem w podróży. Tamci za mną kupili w końcu wszystko, co chciałem im sprzedać. Ci przede mną, w domu, będą chcieli, żebym oddał im siebie, bezinteresownie, za darmo, bez negocjacji.



Ważne, że teraz pędzimy. Co jakiś czas doganiamy rubiny tylnych świateł innych aut, nieraz zbitych w ociężałe konwoje. Te łatwo zobaczyć, bo ktoś wprowadził jakiś nowy przepis i każda ciężarówka ma z tyłu widoczny z daleka duży, odblaskowy prostokąt. Tirowcy jadą razem, po kilka ciągników, jeden za drugim, prawie zderzak w zderzak. Pokonują setki kilometrów, mając przed sobą tylko czerwoną ramkę wypełnioną szarym polem plandeki auta jadącego przed nimi. Ja bym oszalał, ale oni ściskają się w konwojach, wloką w stadzie, gadając przez te swoje radia.

Inne auta wyprzedzają nas bardzo rzadko, bo grzejemy jak cholera. Jednak przed chwilą jakieś niebieskie, zmruczone jak w gniewie oczy pojawiły się w lusterku. Bardzo szybko zbliżyły się, wyprzedziły nas z lewej i zmieniły w dwie czerwone smugi, które po paru sekundach rozpląnęły się w czerni. U nas, spod maski, wydobył się gniewny pomruk. Nie lubimy takich upokorzeń. Pedał gazu w podłogę, obroty w górę, plecy robią się ciężkie na oparciu fotela – przyspieszamy. Możemy sobie na to pozwolić, paliwa równo pół baku, a do domu już blisko.

Po prawej mrugnął ustawiony na poboczu czerwony trójkąt, później przechylony samochód, przy którym ktoś zmieniał koło. Głowa podniosła się, nie zdążyłem się jej jednak przyjrzeć, zanim zniknęła w ciemności.

Gdańsk 76.

Znów tablica. No dobra, nie siedemdziesiąt sześć, co najmniej kilkanaście mniej. Po prostu zerknąłem na nią zbyt późno. Na pewno widziałem szóstkę. Może 56?

Sunęliśmy przez nocną próżnię, ja w stalowo-szklanym kokpicie, bezpieczny, skupiony, upajający się prędkością. Ona, otulająca mnie swym panczerem, rwąca do przodu na pełnych obrotach, tnąca wilgotne wieczorne powietrze. Czułem to auto, a ono mnie. Uwielbialiśmy tak razem mknąć przed siebie w ciemności.

Nie jestem pewien, kiedy w to wszystko wkradł się niepokój. Pierwsze nieśmiałe muśnięcia zimnych skrzydełek gdzieś w środku poczułem, gdy znów minęliśmy trójkąt awaryjny, a moment później stojące auto. Z przodu zamajaczył konwój autostradowych okrętów oznaczonych czerwonymi prostokątami; jechały blisko siebie, jakby się holowały.

Wyrzedzając żeglujący przez noc orszak, przyspieszyłem do sporo ponad dwustu na godzinę, jednak szybko musiałem wrócić na prawy pas, bo z tyłu pojawiło się diabelnie szybkie auto. Facet łyknął nas tak, że nami zabujało, a ona aż zadrżała od podmuchu powietrza i gniewu. Tłumiąc bezsensowne obawy, gapiłem się bezmyślnie w oddalające się czerwone światła. Z przodu zamajaczyła tablica.

Gdańsk 76.

– Jasne! – parsknąłem. – Widziałś to? Przecież zrobiliśmy ze trzy dychy! Ktoś źle poustawiał tablice!

Musiałem to powiedzieć głośno i wyraźnie, żeby zabrzmiało przekonująco. Nie zabrzmiało. Po tylu godzinach jazdy w milczeniu mój głos był niepewny i jakby obcy.

Myśl, że wiem, co zobaczę dalej, była przerażająca. I rzeczywiście – minąłem tego faceta o bladej twarzy, jak energicznie kopał w ramię klucza, by dokręcić śruby w zmienionym kole.

Ścisnąłem kierownicę tak mocno, że zbiełały mi kłykcie.

Znów ten pociąg tirów, znów wyrzedziła mnie ta, chyba japońska, wyścigówka. Chciałem krzyzczeć, wziąłem nawet głęboki wdech, by wyrzucić z siebie narastającą panikę; tylko że gdybym wtedy otworzył tę tamę i wyrzygał z siebie strach, potwierdziłbym to wszystko i zaakceptował jako prawdziwe. Jechałem dalej, w zupełnej ciszy, w towarzystwie obezwładniająco realnego *déjà vu*.

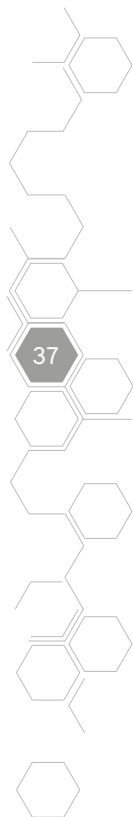
Gdy znów zobaczyłem trójkąt, przyhamowałem, by po chwili zatrzymać się przy starym mercedesie stojącym na poboczu. Przez dłuższy czas siedziałem bez ruchu. Ostrożnie zdjąłem drżące ręce z kierownicy i zerknąłem na kontrolkę paliwa: wskazówka wciąż tkwiła idealnie w połowie skali. Wyłączyłem silnik i z trudem zapaliłem papierosa. Wysiadłem z samochodu.


Mężczyzna miał latarkę – czołówkę – i właśnie kręcił korbą lewarka, a jego auto stękało i podnosiło się mozolnie. Światło z punktu na jego głowie oślepiło mnie na moment.

– Dobry wieczór – zagailem.

– ...eczór – burknął.

Gdańsk 76





- Pomóc? Chyba guma, co?

Wyprostował się. Bładoniebieskie światło latarki zmierzyło mnie od stóp do głów.

- Dzięki, nie pierwszy i nie ostatni raz, poradzę sobie. Pan do Gdańska? Już niedaleko, będzie z siedemdziesiąt sześć kilometrów. Takim autem to pół godziny i jest pan w domu.

Z daleka zaczął nas dobiegać pomruk silnika. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem w oddali mgławicę świateł.

- O, jadą. Ciężarowcy - zauważył mój rozmówca i zaczął odkręcać koło.

- Wie pan może, która godzina? - zapytałem niepewnym głosem. - Padł mi telefon.

- Wpół do dwunastej - odparł od razu, nie przerywając swego zajęcia. Nawet nie spojrzał na zegarek!

- Wie pan co, to może głupio zabrzmieć tutaj na autostradzie, ale chyba zabłądziłem - powiedziałem, siląc się na spokój.

Hałas nadjeżdżającego konwoju narastał. Facet wstał i zapalił papierosa, dym wypełnił stożek światła rzucanego przez diody czołówki.

- Panie, tu się nie da zgubić, jedziesz pan do przodu i tyle - odpowiedział, gestykulując, a żar papierosa narysował w ciemności wzór nie do zapamiętania.

- Jadę wciąż do przodu. A widziałem już, jak pan zmienia to koło. Pan mnie też widział, patrzył się pan na mnie, jak przejeżdżałem.

Chciałem do niego podejść, zobaczyć go, porozmawiać w cztery oczy. Stał tak na szeroko rozstawionych nogach, z tym papierosem, w drugiej dłoni trzymał ciężki klucz do kół. Z tyłu podświetliły go zbliżające się ciężarówki.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Tu się coś dzieje, tak jakbym tu utkwiał. Pan też, chyba?

- Bez paniki, kolego, ale nie mam dobrych wieści - rzekł i wyciągnąwszy rękę z kluczem w dłoni, wskazał na jezdnię autostrady.

W tej chwili dopadła nas fala ryku ciężkich diesli i załało światło reflektorów, żarówek, lampek i diod jadącej kolumny wielkich pojazdów. Gdy już nas minęły, ogłuszający hałas silników przerodził się w niski pomruk, by wreszcie ucichnąć.

– Jadą gęsiego, jak zwykle – ciągnął mój rozmówca, wypuściwszy z ust papierosowy dym. – Wciąż próbują stąd uciec, ale, jak widzisz, im się nie udaje. Może są za wolni, a może tak naprawdę wcale nie chcą się stąd wyrwać? Jest jeszcze ten młody w toyocie – dodał, wykonując jednocześnie ruch kluczem, trochę jakby machnął flagą sygnalizacyjną na wyścigach. W tym momencie lewym pasem śmignął niski, opływowy kształt, rozmyty jak smuga. – Ciągłe ciśnię, ile fabryka dała, a dała sporo. I nic. Nadal go tu widuję.

– Gdzie my jesteśmy?! – wykrzyczałem w jego stronę. Niepotrzebnie, bo wokół znów zaległa cisza.

– To jest nasza trasa, nasz odcinek autostrady. Kto tam na ciebie czeka, że dałeś się wciągnąć w tę dziwną noc, co? Że nie chce się wracać? – odparł mężczyzna.

– Chcę wracać, tylko nie mogę, bo jeżdżę tu w kółko! Rodzina na mnie czeka, kto by nie chciał wracać!

Odpowiedział mi zachrypniętym śmiechem. Świetlisty punkt na jego czole błysnął w moją stronę i zaczął się zbliżać.

– Oni są tutaj, bo im tu dobrze – mówił i powoli szedł w moim kierunku. – Ale ja... Ja chcę do domu. Tylko auto stare i wciąż łapię tę cholerną gumę. Ta twoja skoda ładna, nowa.

Jego lewa ręka zwisała wzdłuż tułowia, a jej przedłużeniem była ciężka, wygięta siedemnastka do kół.

– Dobra, facet, chciałem ci tylko pomóc zmienić koło, daj spokój.

Zrobiłem kilka kroków w tył. Dostrzegłem jednak, że mężczyzna przyspieszył kroku, więc odwróciłem się na pięcie i pobiegłem do auta.


– Do zobaczenia! – rzucił za mną.

Jej włączony silnik warknął na powitanie. W lusterku widziałem tańczący punkt latarki. Chyba nas goni!

Ruszyliśmy z piskiem opon.

– Co za kretyn, słyszałaś go? – mówiłem roztrzęsiony. – Albo wariat!

Rozmowa z dziwakiem od starego mercedesa, choć bezsensowna, odwróciła przynajmniej uwagę od całej tej popieprzonej sytuacji, w której się znalazłem. Niestety, nie na długo. Znów bowiem minąłem przekłętą



zieloną tablicę. Nadszedł więc i moment, że zacząłem krzyżeć. Krzyżałem, gdy wyprzedzałem po raz kolejny kawalkadę oświetlonych jak domy na święta tirów; krzyżałem, mijając machającego do mnie kluczem do kół faceta z latarką na czole, który próbował mnie zatrzymać, wbiegając pod koła. Nie przestałem krzyżeć, gdy we wstecznym lusterku zobaczyłem pędzące ku mnie ostro zarysowane światła w kształcie oczu gada. Postanowiłem trzymać się lewego pasa, na złość jemu, na złość im wszystkim. Wyprzedził mnie z prawej, usłyszałem jego pełen pretensji klakson.

Dziwnie łatwo było się w to wkręcić. Choć wciąż się powtarzał prosty układ konwoju ciężarówek, faceta łapiącego gumę i maniaka prędkości pędzącego autostradą, za każdym razem przebiegał nieco inaczej. Gość od mercedesa zawsze w końcu stawał na poboczu i zmieniał koło, ale widziałem go, jak ruszał po jego wymianie, zatrzymywał się i wysiadał albo po prostu jechał prawym pasem, ćmiąc papierosa. Tirowcy na pewno zmieniali kolejność jazdy w kolumnie – nauczyłem się odróżniać ich ciężarówki i zauważyłem, że przy każdym przejeździe konwój jest prowadzony przez inne auto.

Jakąś stałą był tu ten demon szybkości. Pojawiał się w różnych momentach, jednak zawsze nagle, zmrugającymi światłami i rozwrzeszczanym klaksonem, wyprzedzał nas i pędził dalej. Jechałem razem z nimi tym wciąż powtarzającym się odcinkiem autostrady. Powtarzającym? A może on się po prostu nigdy nie kończył? Niezmiennym elementem układu była tablica. Nie wiem, czy jego początkiem, czy końcem. A może jednym i drugim albo żadną z tych rzeczy?

Zatrzymałem się tylko raz. Stałem na skraju pobocza i wysiadłem z samochodu. Już miałem przesadzić aluminiową barierę i pobiec przed siebie w ciemność. Trafiłbym w końcu na jakieś gospodarstwo, znalazłbym kogoś, poprosił o pomoc. A może zostawił to wszystko i rozmył się w czerni nocy raz na zawsze? Długo wpatrywałem się w gęstą jak smoła noc za barierą. Nie zobaczyłem nic prócz mroku.

Spojrzałem na skodę. W świetle jej reflektorów pojawiały się i znikwały setki maleńkich nocnych owadów. Nie mogłem jej tak zostawić.

Włączyłem się w to wszystko jako kolejny element. Monotonia tej jazdy byłaby nie do zniesienia, jednak oddziaływałem na nich, a oni na mnie. Każdy kolejny przejazd różnił się od poprzedniego szczegółami i to właśnie te drobne różnice mnie fascynowały; zastanawiałem się, kto będzie pierwszy, czy zaraz kogoś wyprzedzę, a może zaraz sam zostanę wyprzedzony? Sprawdzałem, co się stanie, jeśli będę jechał z dużą prędkością, powoli, lewym pasem, prawym pasem, środkiem, bez świateł, z awaryjnymi, na długich. Te małe reakcje sprawiały, że każdy cykl był niepowtarzalny, choć w gruncie rzeczy taki sam. Ale przecież kolejny mógł być zupełnie inny. Wciągnęło mnie to polowanie na różnice i drobne zmiany. Zatraciłem się w tym, wciąż licząc, że za chwilę stanie się coś ważnego.

Nikomu się do tego nie przyznaję, ale w pewnym momencie chyba naprawdę po prostu przestałem istnieć. Liczyła się tylko jazda i powtarzający się układ tablica–tablica. Zapomniałem o wszystkim na zewnątrz, o tych, co na mnie czekają, o sobie samym chyba też. Uczucie tak dziwne i przerażające: nie istnieć. Przerażające, bo... przyjemne. Jego wspomnienie zostanie ze mną już na zawsze. Będę je chował głęboko, zakopywał i starał się zapomnieć, ale co jakiś czas wróci jak lodowate *déjà vu*.

Nie wiem, ile to trwało. Po prostu, nagle, ona przyspieszyła. Wyrwany z otępienia zacząłem myśleć, poczułem znów, że... jednak istnieję!

Zdjąłem nogę z gazu, ale ku mojemu zaskoczeniu silnik ryknął wściekle, obroty skoczyły i wyrwaliśmy do przodu. Złapałem kierownicę najmocniej, jak potrafiłem, bo jechaliśmy naprawdę bardzo szybko. W drgającym lusterku wstecznym zobaczyłem rozmazane światła toyoty. Wtedy wskazówka obrotomierza weszła na czerwone pole, samochód zaczął wibrować, a silnik wyć tak głośno i wściekle, że czekałem tylko, aż coś w nim eksploduje.

Spojrzałem w lusterko. Wredne skośne oczy oddaliły się, a po chwili zniknęły, zostały daleko z tyłu. Przed nami zobaczyłem tablicę.

Gdańsk 56.

Niedługo później podjechałem przed dom. Wszyscy już spali, więc położyłem się po cichu i długo nie mogłem zasnąć.

Rano nie odpaliła. Nie odpaliła już nigdy więcej.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Dawid Wiktorski, Anna Dudała

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Maciej Sznurkowski, Paweł Sadowski, Gabriela Gardoń

Weryfikacja: Magda Kowalewicz, Joanna Gasińska, Jakub Moroński

Kontrola weryfikacji: Dawid Wiktorski

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Aleksander Killman, Tymoteusz Czyż, Agnieszka Chodkiewicz, Anna Sikorska

SKARB

Agnieszka Fulińska

Izena duen guztia omen da.

(*Wszystko, co posiada nazwę, istnieje*).

powiedzenie baskijskie

43

– *Katagorri*.

Czuję, jak wysuwa pocieszny pyszczek z kieszeni, gdzie jeszcze przed chwilą spała.

– Szukaj, *katagorri* – mówię, gładząc miękkie futerko przesuwające się pod palcami.

Skacze. Puchata kita spowalnia upadek, więc zwierzątko ląduje zgrabnie na czterech łapkach i pędzi w głąb lasu.

Nie widzę tego – ale wiem. Pamiętam. Czarne paciorkowate ślepka, ogon oraz zwinność nieporównywalna z żadnym innym zwierzęciem. Słucham, jak myszkuje po lesie, coraz dalej ode mnie.

Przysiadam na zwalonym pniu, który leży w tym miejscu, przed szalasem, od niepamiętnych czasów. *Katagorri* wróci jak zawsze. Wróci wiele razy, przynosząc kolejne *lehor*: suche owoce, orzechy. Kilka z nich zje, resztę zakopie u moich stóp. A raczej będzie próbowała, ponieważ zabiorę je, by się posilić. Ona i tak zapomniałaby, że przyniosła tu swoje skarby.

Jestem ostatnim człowiekiem. W wiosce na pewno. W okolicy – również. W górach – kto wie. Może gdzieś są inni. Jeśli nie tu, to daleko w dolinie, w miastach. Nie wiem i raczej nigdy się nie dowiem. Nie jestem stary, ale jednak słaby i ślepy. Pozostały mi tylko dobrze znane miejsca, nie oddalam się zanadto od szalasu, w którym mieszkam od... nie wiem, jak dawna. Od kiedy odeszła. Od kiedy ja odszedłem.

Zwierzątko ociera pyszczek o moją nogę. Drobne pazurki czepiają się resztek ubrania.

– *Maitea*.

Tak nazywałem kobietę, którą kochałem. Dziś bezwiednie zwracam się tak do swojej ostatniej towarzyszki. Jedynej istoty, która ze mną została.

44

Nie dałem rady wszystkim pochować.

Umierali szybko. Ta, którą nazywałem Ukochaną, odeszła wcześniej, ma więc grób na łące, za wioską. Nie byłem tam, od kiedy ją pogrzebałem. Minęło dużo czasu – nie wiem, ile dokładnie; dawno przestałem go liczyć. Wciąż jednak czuję niedający się usunąć odór rozkładu, słyszę jęki konających, którym nie mogłem pomóc. Nawet w słoneczne dni przenika mnie zimno, jak wtedy, gdy zgrabiałymi rękami kopałem grób i wypisywałem węglem na kawałku drewna krzywe litery, by miejsce pochówku znaczyła pamiątkowa *hilarrria* – albo chociaż jej namiastka. Napis na deseczce wkrótce zmył deszcz, drewno zgniło; po mojej najmilszej nie został żaden ślad. Zapomniałem jej imię, tak jak zapomniałem swoje. Wiem tylko, że to była *maitea*. Ukochana.

Nie rozumiem, dlaczego przeżyłem. Może dlatego, że kiedy to się zaczęło, byłem w piwniczce i przerzucałem zapasy na zimę. Przyszło nagle, niczym burza. Zabralo wszystkich... oprócz mnie. Jednych natychmiast, innych po kilku dniach. Przyglądałem się bezradnie, jak

umierali. Wciąż ich widzę, choć słońce wypaliło resztki wzroku, a ślepotą odebrała mi inne obrazy. Wciąż ich słyszę, choć głosy unosi wiatr.


Katagorri biegnie znowu do lasu. Przed chwilą kręciła się u moich stóp, sięgam więc w dół, by wyczuć palcami rozgrzebaną ziemię, i wyciągam jej skarb. Powtarzamy to: raz, drugi, trzeci. W końcu gromadzę zapas orzechów, do których zamierzam dozbierać jagód i grzybów; węch mam lepszy niż kiedykolwiek wcześniej. Słuch też: gdybym był tak szybki i sprawny jak dawniej, mógłbym polować. Jestem jednak coraz słabszy i powolniejszy. Niedługo dołączę do tych, którzy odeszli. Zobaczę Ukochaną.

Pojawiła się kilka dni, tygodni, a może miesięcy po tym, jak pochowałem kobietę, którą kochałem, i odszedłem z wioski. Pozostawiłem za sobą jęki, krzyki, smród choroby i śmierci. Całymi dniami przesiadywałem przed szałasem, spoglądając w kierunku doliny, jakbym wierzył, że wypatrzę tam życie. Nie widziałem nic, bo przed oczami miałem tylko wykrzywioną bólem i strachem twarz Ukochanej. Nie słyszałem nic oprócz szeptu, lecz nie rozumiałem słów. Co do mnie mówiła w ostatnich chwilach życia? Błogosławiła czy przeklinała?

Kopiąc grób, czułem ogarniającą ciało martwość, a jednak żyłem. Żyłem także wtedy, kiedy od strony wioski przestały dochodzić przerażające dźwięki i zapadła jeszcze straszniejsza cisza. Kiedy jedynym wspomnieniem życia stał się odór śmierci. Kiedy ten odór rozwiął wiatr.

Krople deszczu na twarzy mieszały się ze łzami. Tkwiłem w miejscu, czekając, aż Erioa, poszukiwacz dusz, przyjdzie wreszcie po mnie. Wzrok gasł od patrzenia w słońce.

Pewnego ranka – nawet nie wiem kiedy, dawno straciłem rachubę czasu – ledwie dostrzegalny ruch wyrwał mnie z otępienia. Czerwona plama wśród wszechogarniającej szarości. Iskierka życia w umarłym krajobrazie. Małe, zabiegane zwierzątko, któremu jest obojętna śmierć wioski. *Katagorri*.



Zakopała orzech koło szałas, mojego nowego domu. Potem drugi, trzeci, czwarty. Robiła zapasy na zimę. Znałem te rudzielce od dawna: nigdy nie pamiętają, gdzie są ich skarby, ta jednak z uporem przychodziła pod rozsypującą się chatkę i zносиła orzechy, które podkradałem. Wkrótce wskakiwała mi na rękę. Jak teraz.

– *Maitea* – mówię, odrywając się od wspomnień, a ona drapie mnie delikatnie w dłoń.

Podaję jej jeden z orzechów, ale nie bierze go, tylko wbiega wyżej na ramię, gdzie układa się do snu.

We śnie widzę. Naszą wioskę, nasze góry, stada, pola. To wszystko, co jest *etxe* – domem. Miejscem, gdzie się żyje i umiera. Kiedy wioska zamilkła, mogłem zejść w dolinę, szukać ludzi. Wtedy jeszcze miałem siły i oczy. Ale nie potrafiłem – nie chciałem porzucić *etxe*. Nie chciałem przestać być sobą.

Nie chciałem opuścić ukochanej.

We śnie widzę stojącą na uboczu szkołę, w której uczyłem dzieci liter i liczb. Opowiadałem im o wędrówce Słońca aż po czerwoną wodę, o istotach zamieszkujących otaczające nas góry, o tym, że wszystko, co posiada nazwę, istnieje.

Widzę dziewczynę z dzbankiem mleka, pajdą chleba i koszykiem pełnym jagód, czekającą na podwórku przed niedużym kamiennym budynkiem, wśród uczniów biegnących do domu. Zawsze przychodziła w południe, między lekcjami. *Maitea*, Ukochana.

Kiedy zrozumiałem, że nie umrę jak inni, rozważyłem powrót do wspomnień. W tamto miejsce, na obrzeża wioski, z dala od śmierci i jej żniwa. Do domu, w którym mieliśmy zamieszkać razem na zawsze. Nie wróciłem: bałem się widm, które by mnie tam otoczyły. Pozostałem w szałasie wysoko na hali.

Wciąż jednak przed oczami miałem postać Ukochanej: rozwiewającą się we mgle, obecną niczym powidok, kiedy zbyt długo patrzysz

w słońce. Tego obrazu nic nie zdołało wypalić ze snów, w których przychodzi jak żywa. Zawsze błagam, by zabrała mnie ze sobą, a ona w odpowiedzi kładzie tylko palec na ustach. „Miej cierpliwość” – mówi jej spojrzenie.

Budzi mnie drapanie pazurków. Przez jedno uderzenie serca wydaje mi się, że widzę obraz: zwierzątko trzyma łapkę przy pyszczku, jakby powtarzało gest Ukochanej. Potem znów zapada ciemność, pełna dźwięków i zapachów. Po nocnym deszczu za szalasem wyrosną grzyby. Maliny przejrzewają, napełniając powietrze słodkim aromatem. Siadam, jak co dnia, na wielkim głazie nieco poniżej chatki. *Katagorri* skacze wokół mnie, zapraszając do zabawy. Przypominam sobie uczniów, ich gry na szkolnym podwórku. Woń leśnych malin miesza się ze wspomnieniem zapachu suchej czosnkowej kiełbasy.

Dziś moja mała przyjaciółka jest niespokojna. Wiatr niesie zapowiedź jesiennych chłódów, po których przyjdą ulewy i śnieżyce. „Trzeba zrobić zapasy” – mówi nerwowo taniec *katagorri*. A przecież to nie pierwsza zima, którą razem spędzimy.

– Damy radę – szepczę w tym kierunku, z którego dochodzi szelest.

Wiem, że to nieprawda: jestem coraz słabszy, rzadko ruszam się dalej niż na kilka kroków od szalasu. Wkrótce nadejdzie dzień, kiedy nie otworzę oczu, nie wstanę z kamienia, nie uśmiechnę się do zwierzątka uwijającego się wokół moich nóg. Czekam na tę chwilę. Myślę, że nadejdzie z pierwszym śniegiem.


Czy rudzielec za mną zatęskni?

W odpowiedzi chwyta mnie ostrymi zębami za palec, drapie ubranie.

– Szukaj, *katagorri* – mówię odruchowo.

Zawsze rozumiała polecenie. Teraz wyczuwam w niej niecierpliwość, irytację. Skacze, odbiega, wraca, gryzie mnie delikatnie w rękę. „Chodź ze mną” – zdaje się mówić swoim zachowaniem. Wyciągam dłoń, by ją pogłaskać. Przez chwilę pomrukuje jak zawsze, a potem zeskakuje mi





z kolan i biegnie w las. Słyszę, że przystaje i wydaje z siebie przenikliwy pisk. Chce, żebym za nią poszedł, czuję to.

Może znalazła albo wyczuła innych ludzi, myślę. Może w sąsiedniej dolinie życie toczy się jak dawniej.

Nadzieja wkrada się w serce, więc wstaję i ostrożnie podążam za szelestem liści. Przewodniczka kręci się wokół mnie. „Pospiesz się”. – Szmer cichnie, powraca, znów się oddala. „Pospiesz się”.

Nie potrafię dotrzymać jej kroku, nie daję rady poruszać się tak szybko. Znam ten las, ale nie widzę, więc potykam się o korzenie, gałęzie uderzają mnie w twarz, nogi grzęzną w błotnistych kałużach.

– Czego chcesz, *katagorri*? – pytam, dysząc ciężko ze zmęczenia.

Zmuszam się do krzyku – na wypadek, gdyby w pobliżu był ktoś, kto usłyszy mój głos. Ktoś, o kim ona wie. Człowiek, do którego mnie prowadzi.

Nikt nie odpowiada; nadzieja na ocalenie gaśnie. Słyszę tylko cichy tupot biegnącego przede mną małego zwierzątka, szmer liści, kapanie wody. Wchodzimy coraz głębiej w gęstwinę, tracę siły, padam na kolana. Nie wiem, czy dam radę znaleźć drogę powrotną do szałasu.

Może to lepiej, myślę, wdychając woń wilgotnej ziemi.

Na twarzy czuję muśnięcie dłoni.

– *Maitea*?

To tylko mokra łapka *katagorri*. Znów przez mgnienie oka ją widzę, jak pogania mnie gestem. „Chodź, chodź, już niedaleko”. Pełnę wśród krzaków, ich kolce ranią twarz i dłonie.

Umrę, myślę. I jest to kojąca świadomość.

Nagle każdą woń czuję mocniej; bliskość ziemi i roślin odurza mnie. Gdzieś przemyka mysz, słyszę krople spływające po pniach drzew. Wystarczy, żebym otworzył oczy, a zobaczę. Unoszę powieki, lecz nadal przed sobą mam jedynie mrok. Aromaty i dźwięki odpływają, jestem znów tylko słabym człowiekiem zgubionym w lesie.

Zatrzymuję się tam, gdzie ta, która mnie prowadzi.

– *Katagorri*?

Kopie zawzięcie w ziemi, jakby w tym miejscu zagrzebała najcenniejszy orzech. Z oddali dobiega szum wodospadu. Wzdrygam się, bo wiem, co to za miejsce.

– Dlaczego mnie tutaj przyprowadziłaś? – Mój głos przechodzi w krzyk.

Nie chcę tu być, nie chciałem tu nigdy wracać.

Skacze mi na ramię i szeptem do ucha:

– *Otwórz oczy.*

Znam ten głos.

Zaciskam powieki i widzę ją, jakby to było wczoraj. Przy tym wodospadzie wyznaliśmy sobie miłość, tu przychodziliśmy kąpać się w zimnej wodzie spływającej ze szczytów gór. Wrzuciliśmy w błękitny wir pieniędzy, przywołując opiekuńcze *laminak*. Wzywałem je potem, wyjąc nad martwym ciałem Ukochanej. Błagałem duchy natury o pomoc, o litość, o cud.

Cuda nie istnieją.

Nie potrafię nawet płakać, łzy skończyły się nad grobem na hali, nad deseczką z imieniem, którego nie pamiętam.

Katagorri trzyma wykopany skarb w pyszczku, trąca mnie czymś chłodnym w pokrwawioną dłoń.

– Nie.

Palce zaciskają się na małym, okrągłym kawałku metalu.


– *Nie zapomniałam, gdzie jest nasz skarb* – szeptem wiatr głosem mojej najdroższej. – *Chodź za mną, Azeri.*

To nie jest moje imię. Jestem tego pewny, choć nie pamiętam, jak ono brzmiało.

Przez zaciśnięte powieki widzę małe, rude zwierzątko biegnące w stronę szumiącego wodospadu – wiem dobrze, że jesteśmy nad nim. Podnoszę się na nogi, przeciskam przez kolczaste krzewy, czując, jak ten wysiłek wysysa ze mnie resztki sił. Szum wodospadu zamienia się w huk.

Skarb





Otwieram niewidzące oczy i robię krok ku mokrej skale. Woda obejmuje mnie jak niegdyś Ukochana.

Krople rozpryskują się na wszystkie strony. Otrzeputę się jeszcze raz. Przeżyłem upadek, choć wolałbym nie żyć.

- *Nareszcie jesteś.*

Widzę ją: przykucnęła na kamieniu z orzeszkiem w łapkach. Wokół niej przez mgnienie oka unosi się widmowa postać kobiety, tej samej, która przynosiła mi owoce i mleko do szkoły. *Maitea*.

- *Maiteadun* – odpowiada w moich myślach. - *Teraz pobiegiesz ze mną i nigdy się nie rozstaniemy.*

Patrzę na własne odbicie. Widzę trójkątny pysk, złote oczy, smukłe ciało: *azeri*. Wyskakuję na brzeg na czterech łapach, otrzeputę z wody rudo-białą kitę.

- *Skąd wiedziałaś?* – Spoglądam na nią pytająco, wskazując na nowy kształt, wokół którego majaczy gasnąca postać mężczyzny.

- *Dlaczego tak długo się nie domyślałaś?* – odpowiada pytaniem mała, ruda *Katagorri*.

Nie miała tak na imię, ale równie dobrze tak mogę ją nazywać. W jej myślach, niesionych szumem wiatru, słyszę wyrzut, lecz w paciorkowatych ślepkach błyszczą radość.

Musiałem dojść do kresu sił, przemyka mi przez głowę.

- *Jak?* – pytam, wskazując na nią, na siebie.

Katagorri rzuca orzeszek w wir u stóp wodospadu. Przez mgnienie oka widzę tam postać kobiety o miedzianej skórze i ptasich stopach. *Laminak* nie odmówiły pomocy.

Cuda istnieją – potwierdza moja Ukochana.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agnieszka Przybyła-Wilkin, Dawid Wiktorski

Korekta: Iwona Winiarska, Patrycja Kurczewska, Beata Sagan-Szendzielorz, Karolina Rogala

Weryfikacja: Patrycja Pancierz, Jakub Moroński

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz, Anita Brzozowiec

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Bartek Bartkiewicz, Karolina Kaja, Magda Kowalewicz, Marek Młodzikowski, Joanna Stoga, Jakub Węgrzynowski

ŚPIJ, KRÓLEWNO

Wiktor Orłowski

Czarne Oko Bogów dostrzeżono na niebie w południe. Dryfowało nad strzechą zachodniego lasu niczym martwe, wypalone Słońce. Szeptano we wsi, że jego pojawienie się zwiastuje nieszczęście.

Zorza nie dawała wiary bajaniom tchórzy.

– Może lepiej wracajmy – zaproponowała Rosa nieśmiało. Wahala się przed wejściem na rozchybotane schody Sowiej Wieży.

Zorza przystanęła u szczytu i odwróciła się, spojrzała na przyjaciółkę z góry. Kosz pełen wiktuałów oparła o biodro – był ciężki, ale w podnieceniu ledwie czuła jego wagę.


Nareszcie wypadł dzień, kiedy pozwolono im zanieść do Wieży ofiarną strawę. Nie zamierzała tracić takiej szansy!

– Obiecałaś.

– To prawda, ale Rada zabrania...

– Obiecałaś. – Zorza hardo uniosła podbródek. – Sama chciałaś zobaczyć Demona, a teraz strach cię obiecał? – rzuciła kpiąco. – Przecież on za dnia śpi. Chodź.

Odwróciła się na pięcie i nie czekając na odpowiedź, zniknęła w dziurze po wybitych drzwiach. Ze środka ciągnęło chłodem, wonią pleśni i wilgotnego mchu. Zadrżała, ale ciaśniej owinęła się chustą i ruszyła dalej, trzymając się plamy słonecznego światła, czerwonej o tej



porze. Jej cień stał się długi i groteskowo chudy – na ten widok Zorza zadygotała raz jeszcze.

To było niebezpieczne. Rada surowo zabraniała przebywać poza pawilonami po zachodzie słońca – noce w wiosce były mroźne, a lasy pełne dzikiej zwierzyny. Kto po zmroku zasnął poza izbą, ten mógł już więcej nie wstać.

Ale Zorza się nie bała – od dziecka wierzyła, że Hvasca, strażnik tej wsi, otacza ją opieką.

Zawsze potrafiła dostrzec ślady jego obecności: płonące nocami ogniska, rozkładane gdzieś tułaczki na zwierzęta, przesuwane przedmioty. Sowi Demon był tu przed jej urodzeniem i miał być jeszcze długo po tym, jak Dobra Ziemia przyjmie jej martwe ciało.

Kroki odbijały się echem od kamiennych ścian. Zorza zadarła głowę i mocniej ujęła kosz. Sowi Wieża przypominała babkę Kandelę – wykrzywiona, zrujnowana i przytłoczona brzemieniem lat, a zarazem solidna. Kamień, nadgryziony zębem czasu, odsłaniał nagą więźbę dachu, wąskie korytarze zdawały się odbiegać od sieni we wszystkich kierunkach. Pod na wpół zawalonymi schodami czaiły się gęste cienie.

– Zorza, wracajmy!

– Idź sama! – warknęła i ruszyła przed siebie, nie czekając, aż umilkną kroki uciekającej Rosy.

Senność dopadła ją nagle. Skronie ścisnęło niehumanne znużenie, kosz raptownie stał się dziwnie ciężki. Upuściła go i spojrzała w dół.

Stała w głębokim mroku. Konające słońce malowało na ścianach krwawe zacieki. Nie zauważyła, kiedy zrobiło się tak późno.

Odetchnęła, przyciskając czoło do zimnego kamienia. Miała nadzieję, że chłód ją rozbudzi.

Błąd.

Osunęła się na kolana. Powieki zaciążyły, jakby zrobione były z tego metalu, którego od dawna już w wiosce nie mieli.

Ołów – przypomniała sobie, błędząc na pograniczu jawy i snu. Bardziej wyśniła, niż poczuła, że tuż obok miękko upada coś dużego.

Obudził ją lament. Rozkleiła powieki, poczuwszy ciepłe krople kapiące na grzbiet ręki. Ktoś ścisnął ją z siłą imadła.

– Ty żyjesz! – wyłała Rosa. Jej brzydką, płaską jak patelnia twarz o rozszczepionej wardze wykrzywił płaczliwy grymas.

– Przecież mówiłam, że nic jej nie będzie! – prychnął ktoś w kącie izby.

Zorza rozpoznała głos Łuny: bladej, szczupłej jak lisica dziewczyny o ognistych włosach.

– Która jest godzina? – wychrypiała, unosząc się na łokciu.

Łuna tylko machnęła ręką w stronę zegara solarnego. Cień padał nieco poza Pętlą Podwójną, świt musiał nadejść już jakiś czas temu. Zorza zwykła sypiać długo – budziła się, gdy słońce stało wysoko na niebie.

A to oznaczać mogło tylko jedno.

– Kto mnie przyniósł? – spytała z nadzieją, że był to smagły i wysoki Lumen.

Ruda dziewczyna odwróciła wzrok.

– Nie wiemy. Byłaś w łóżku, gdy Rosa wstała, a ona przecież budzi się najwcześniej.

Zorza zagryzła wargę.

– Nic nie pamiętam. Nagle zrobiło się ciemno, musiałam zasnąć w Wieży i... – Urwała, w jednej chwili siadając prosto. – To on. Na Prawdziwe Słońce, to był on!

– Kto? – bąknęła zszokowana Rosa. Patrzyła, jak przyjaciółka wygrzebuje się spod stosu skór, w biegu narzuca Inianę koszulę i wkłada trzewiki.

– Hvasca! – rzuciła Zorza i jak burza wypadła z dormitorium.

Pawilon Rady był najbardziej okazały w całej wsi. Zorza musiała przemierzyć długie, obite skórą korytarze, nim dotarła do Wielkiej Sali.

Śpij, królowno



Zamarła przed drzwiami, usłyszawszy podniesione głosy.

– Niedorzeczne! – powiedział twardo ojciec. Rozległ się huk, jakby ktoś uderzył pięścią w stół.

– Otwórz oczy, *aguiar*. – Lumen mówił z szacunkiem, ale chłodno. – Ludzie przestają się budzić ze snu. To klątwa. Musimy podążyć za Okiem Bogów, znaleźć Dzierżących Blask i...

– Milcz! – zagrział wódz. Zorza przestraszyła się furii w jego głosie. – Jestem *aguiar* tej wsi, tak samo jak mój ojciec i dziad, kość z kości, krew z krwi. Szanuję tradycję. A ta głosi: kładź się o zmierzchu, wstawaj o świcie, czcij Prawdziwe Słońce i nigdy nie zbliżaj się do obcych, albowiem choć wykradli blask Bogom...

– ...ich chciwe serca spowija ciemność – szepnęła Lumen.

– Prawdę rzekłeś.

Zapadła głucha cisza.

Zorza odskoczyła od drzwi, jakby parzyły.

56

Została godzina do zmierzchu, gdy Zorza za swoją najładniejszą wstążkę wytargowała kolejną służbę w Wieży i dzierżąc kosz, ruszyła ku na w pół zawalonej budowli. Pakunek był dużo cięższy – z pawilonu kuchennego, prócz świeżego chleba, kiełbasy i kostki sera, wzięła też blaszany rondel wraz z chochlą.

Szkło zachrzęściło pod jej butami, kiedy wkroczyła do środka. Wzięła głęboki wdech.

– Okaż się, Sowi Demonie! – przemówiła, starając się pohamować drżenie głosu.

Cisza.

W cieniu kamiennych ścian zachrobotąły szczury.

Wyjęła metalowe naczynia i zmówiwszy szeptem modlitwę do Prawdziwego Słońca, zamasyżycie rąbnęła jednym o drugie. Od huku aż zęby ją rozbolały, gryzonie rozpierzchły się z piskiem.

W ciemności coś drgnęło.

- Auu!

Zorza zacisnęła usta, szykując się do kolejnego uderzenia. Na ten widok istota czająca się w mroku wpadła w popłoch.

- Nie! Przestań! Wstaję.

Niewyraźny, długi kształt ostrożnie zbliżył się do granicy światła. Zorza wrzasnęła i upuściła swoje utensylia.

Sowi Demon skrzywił się paskudnie.

I bez tego nie grzeszył urodą. Był koszmarnie chudy, przerastał Zorzę o głowę, ale ubranie – strzępy szaroburych szmat – wisiało na nim luźno, odsłaniając obojczyki tak ostre, że można by nimi kroić chleb. Miał bladą twarz z wydatnym nosem, wąskim i ostrym jak ptasi dziób. Strzecha ciemnych włosów okalała oblicze, którego większą część zajmowały oczy.

Zorza zadygotała ze wstrętu i cofnęła się.

Nigdy nie widziała takich oczu!

Były ogromne – dwa razy większe niż u człowieka – blisko osadzone i całkowicie czarne. Hvasca przymknął powieki, a wówczas zobaczyła, że ustawione są bardzo skośnie. Wyciągnął rękę, jakby chcąc jej dotknąć, ale się zawahał.

- Uważa. Ciebie – powiedział cicho, głosem ochryplym z nieużywania. - Zaśnie.

- Jesteś prawdziwy! – wyszeptwała.

- Jedzenie. Puściła.

Kosz walał się po brudnej podłodze. Zorza padła na kolana, by pozbierać rozrzucone wiktuały. Hvasca obserwował ją czujnie.

- Hałasuje. Dlaczego? – spytał, starannie cedząc słowa.

- Ja... potrzebuję pomocy.

- Niemądra. – Chwycił kosz i wycofał się w mrok. – Odejdź.

- Nie!

- Zmierzch. Odejdź.

Zadarła głowę, by zmierzyć wzrokiem czerwony poblask zachodzącego słońca. Zagryzła wargę.

- Wróć – zapowiedziała. – Jestem Zorza, druga córka *aguiar* tej wsi, i z pewnością tu wróćę.

Śpij, królewno



Obietnicę spełniła nazajutrz, wymknąwszy się do Wieży z naręczem jabłek świeżych z pawilonu kuchennego. Było słoneczne, choć mroźne popołudnie, oddech parował na zimnym powietrzu.

Sowi Demon czekał na nią. Czaił się na skraju ciemności, krzywiąc ze wstrętem. Twarz miał szarą i zmęczoną, olbrzymie oczy – podkrążone i opuchnięte z niewyspania. To nie była jego pora.

Zorza poturlała w stronę cienia jabłko.

– Tylko? – burknął.

– Nie miałam czasu.

– Prawda. – Hvasca uśmiechnął się. Miał dziwne zęby: wąskie, bardzo ostre i niepokojąco liczne.

Błękitne oczy dziewczyny błysnęły.

– Ty coś wiesz – rzekła, przysuwając się na sam skraj plamy słońca.

Demon podniósł palec i w milczeniu wskazał linię wytyczoną przez światło: granicę ich istnień, nieprzekraczalny most pomiędzy jej dniem a jego nocą. – O naszej klątwie. Powiedz.

Potał twarz wierzchem dłoni.

– Trudne – westchnął, tłumiąc ziewnięcie. – Słowa. Nie pamiętam.

I tak zrozumiesz nie.

Potoczyła w jego stronę kolejne jabłko.

– Spróbuj – poprosiła szeptem ochryłym z napięcia.

– Kiedyś – zaszemrał, usuwając się w cień.

Kilkanaście dni później Zorza siedziała w kręgu światła, krzyżując przed sobą nogi, a w jej dłoniach srebrzyście błyskał kozik, którym kroić szynkę.

– Naprawdę jesteś demonem? – spytała. Patrzyła z zaciekawieniem, jak Hvasca w skupieniu marszczy brwi, szukając słów i poprawnych form.

Codziennie na nowo uczyła go mówić. Nawet nie wiedziała, że to robi, po prostu siadała w słońcu, tak jak teraz, i opowiadała: o sobie i ojcu, życiu wioski, przędzeniu wełny, wygłupach Rosy i Łuny; o Lumenie, czerwieniejąc jak piwonie, a Demon słuchał. Wpierw powtarzał pojedyncze wyrazy, później – całe zdania. Teraz już wystawiał się płynniej, choć niekiedy używał zwrotów, których Zorza nie rozumiała.

– Mam zmodyfikowany kario... Mam w sobie ducha sowy. Różnię się od ludzi.

– Od Dzierżących Blask? – podchwyciła, rzucając mięso w jego stronę. – Ojciec i babka Kandela przestrzegali nas przed nimi. To ludzie, którzy zakpiłi sobie z bogów i wykradli im Światłość, ale nie rozproszyli cienia w swoich sercach. Zniszczyli łądy, zatruli wody i wycięli lasy. Wyłupili bogom Oczy i zawiesili je na niebie.

Sowi Demon złapał szynkę w locie. Wyglądał na głodnego. Kęs połknął w całości.

– *Rénzào yuèliàng* – powiedział cicho.

Zorza zbladła i zerwała się na równe nogi w obawie, że Demon zaczął rzucać czary, ale on tylko uśmiechnął się krzywo.

– Nazywacie je Oczami Bogów, a to tak naprawdę wielkie lustro nocą odbijające światło w kierunku miast. Chodziło o redukcję zużycia elektryczności.

Dziewczyna aż syknęła, padając na kolana i krzyżując nadgarstki na dźwięk Imienia Blasku. To była wielka moc – zakazana i straszna – lecz Demon mówił o niej swobodnie, wręcz nonszalancko.


– W pewnym momencie ludzie zrozumieli, że ku przyszłości zacierają tylko ich umysły, nie ciała. Nosili dusze bogów w ciałach zwierząt, które nie radziły sobie z tempem zmian. Próbowali to zatrzymać. – Skrzywił się, dostrzegłszy jej minę.

– Mów dalej. Proszę.

Westchnął.

– Niektórzy pragnęli odciąć się od cywilizacji: jeść, ruszać się, żyć jak człowiek paleo. Powstawały różne sekty, jedna z najbardziej zacieklej wywalczyła sobie suwerenność i obietnicę nieingerencji ze strony rządu.

Śpij, królowno



Prowadzili eksperymenty nad chronotypem. Główna zasada brzmiała: kładź się o zmierzchu...

– ...wstawaj o świcie – dokończyła Zorza nabożnym szeptem.

Hvasca chciał odejść, ale była szybsza. Rzuciła się do przodu, chwyciła go oburącz za kościsty nadgarstek. Skórę miał ciekłą i chłodną, w dotyku przywodzącą na myśl oskubaną kurę. Zorza zdrząła: jej własne ręce po łokcie zanurzone w cieniu wyglądały obco i groźnie, jakby miały nigdy nie wrócić do światła.

– Niektórzy twierdzą, że klątwa to kara za odcięcie się od świata! – zawołała gorączkowo. – Mają rację?

Demon milczał przez chwilę.

– Poniekąd – przyznał.

– Powinniśmy opuścić wioskę? Ruszyć za Okiem Bogów? – Mocniej zacisnęła palce. Czuła, jak serce w jej piersi zbryla się w twardą, lodowatą grudę.

Hvasca zasyczał i wyrwał się z uścisku.

– Nie powiem ci nic więcej.

– Więc dlaczego na mnie czekasz?! – wrzasnęła, a przez jego twarz przebiegł cień zaskoczenia. – Dlaczego nie śpisz? To nie jest twoja pora!

– To nie...

– Dlaczego nie wyrzucisz mnie, kiedy przyszedłam po raz pierwszy? Dlaczego pozwalasz mi tu przychodzić? Dlaczego... – zająknęła się. Spłonęła krwistym rumieńcem. – Dlaczego zaniostałeś mnie do pawilonu, zamiast pozwolić, bym zamarzła? Bo jesteś samotny. Od tak dawna, że zapomniałeś nawet, jak mówić.

Urwała, biorąc głęboki, drżący wdech. Policzki miała mokre od łez.

– Wioska cię kocha, czci jako opiekuna i składa dary. Ale jeżeli wszyscy zaśniemy, nikt więcej nie wespnie się na schody Sowiej Wieży, by przynieść ci świeży chleb. Nikomu więcej nie będziesz doglądał w nocy ognia. I wtedy... wtedy naprawdę zostaniesz sam.

Sowi Demon długo milczał z twarzą ukrytą w dłoniach, wtulony w cień kamiennej ściany. Wreszcie opuścił ręce.

I opowiedział jej wszystko.

– Coś ty rzekła, dziewczyno? – spytał zimno *aguilar*. Zorza zadrżała, usłyszawszy w głosie ojca dezaprobatę, ale się nie ulękała. Nie mogła stracić twarzy przed całym Zgromadzeniem.

– Popieram Lumena – oświadczyła dobitnie. Lider opozycjonistów był bardzo blady. Dziś rano nie obudziły się jego matka i siostra. – Powinniśmy odnaleźć Dzierżących Blask. Klątwa jest karą za izolację.

Wielka Sala wybuchła szeptami.

– Absurd! – warknął Luks, zagorzały poplecznik ojca w Radzie.

– Tak powiedział mi Sowi Demon! – Urwała i zaczęła delektować się ciszą, która zapadła po jej słowach. – Opowiedział mi wszystko o wiosce. I o tym, co uczynił Wielki Założyciel, Diego Aguilar.

Ojciec, dotychczas purpurowy z wściekłości, teraz raptownie zbladł. Prawdziwe imię Założyciela było sekretem przekazywanym nowemu przywódcy. Zorza nie miała prawa go znać. Nie miała też prawa niepokoić śpiącego za dnia Hvaski. Nikt dotąd się na to nie poważył.

Nikt!

– Klątwa to kara za grzebanie w naszych ge... genach i życie w odosobnieniu. Rozmnażamy się sami ze sobą i dlatego...

– Dość!


– I dlatego dzieci rodzą się chore! – wrzasnęła, wskazując palcem Rosę. Oczy przyjaciółki, jedyna ładna część ciastowatej, szpetnej twarzy, wezbrały łzami. – Ale Dzierżący Blask mogliby nas wyleczyć! Ich badania...

Cios sprawił, że aż się zatoczyła. W szoku dotknęła twarzy: lewy policzek piekł, jakby włożyła go do ognia. Ojciec zamarł z wciąż uniesioną ręką.

– Zamilcz i wynoś się sprzed oczu Rady – wycharczał. – Już nie jesteś moją córką.

Śpij, królewno





Tę noc po raz pierwszy w życiu spędziła poza pawilonem, w nieocieplonym, niskim namiocie zszytym z kozich skór. Kładła się spać, kołysana szumem wiatru i otulona lekko zatęchłym, ostrym zapaszkiem.

Miała wyrzuty sumienia z powodu tego, jak potraktowała Rosę. Wierzyła, że ma rację, ale powinna była głosić ją delikatniej. Mogła przeprosić dopiero rano podczas wspólnego przędzenia, bo straciła prawo wstępu do pawilonu, gdzie spały obok siebie, w najmroźniejsze noce przytulone pod stertą skór.

Czekała, aż drzwi przędzalni uchylą się i ukażą brzydką, pocziwą twarz o rozszcepionej wardze. Ale tego ranka Rosa nie wstała.

Zorza z furią przędła przez cały dzień. Nawet nie zauważyła, że ukłuła się ostrym wrzecionem, a nowa nić nasiąkła krwią. Po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz – czuła, że to zły znak.

Nazajutrz nie obudził się Lumen.

62

Zorza zerwała się o świcie. Panujący w namiocie chłód sprawiał, że wstała teraz znacznie wcześniej.

Wyskoczyła z postania, usiłując nie hałasować. Spod łoża wyjęła spakowany zawczasu worek. Miała w nim suchą żywność, bukłaki z wodą i dary Sowiego Demona: czarodziejski przyrząd zawsze wskazujący północ, artefakt, z którego po pstryknięciu buchał prawdziwy płomień, nóż o ząbkowanym ostrzu. Dostała też ciepły koc, który po zwinięciu zajmował bardzo mało miejsca, szklany cylinder zakończony ostrą igłą oraz niesmaczne twarde grudki zabijające ból i choroby. Na myśl o nich Zorza poczuła wściekłość.

Ojciec, choć wiedział, do czego służyły, nigdy nikomu nie ulżył nimi w cierpieniu. Uważał to za świętokradztwo.

To, co zamierzała uczynić, także.

Wioskę otaczały gęste lasy. W odległości pół dnia marszu okalał je mur tak wysoki, że dwóch mężczyzn ledwo sięgnęłoby szczytu, jeśli jeden stanąłby drugiemu na barkach. W wschodniej ścianie znajdowała

się jedyna Brama. Poruszyć ją mogło tylko zakłęcie strzeżone przez *aguiar*.

Cóż, nie dość pilnie – pomyślała z satysfakcją. Patykami na piasku narysowała symbol, którego nauczył ją Sowi Demon: układ dziewięciu kwadratów, ozdobionych dziwnymi znakami podobnymi do tych z zegara solarnego. Zaraz jednak spoważniała.

O tej porze wioska wyglądała na wymarłą. Jedyнным problemem była Straż Dzienna, wstająca najwcześniej, by czuwać nad porządkiem.

Wyminęła oborę i skręciła w alejkę prowadzącą do przędzalni. To była najbezpieczniejsza trasa – z dala od pawilonu Rady i wybiegu kur, karmionych o poranku. Nie spodziewała się tu o świcie nikogo.

Błąd.

Ktoś złapał ją za ramię i boleśnie ścisnął.

– Dokąd to?

– Na grzyby – warknęła. Zareagowała błyskawicznie, dokładnie tak, jak uczył ją Hvasca. W jednej sekundzie strażnik ją trzymał, w drugiej już wybałuszał oczy, leżąc na ziemi. Zorza nie wahała się ani chwili.

Błysnął metal. Wbiła igłę w ramię mężczyzny i wcisnęła tłok. Jego twarz raptownie sflaczała, a oczy zasnuły się mgłą.

Starannie zagrzebała w ziemi szklane żądło i odetchnęła głęboko.

A potem pobiegła w las.

Ledwo Zorza weszła w knieję, otoczyła ją ściana ciężkiej do zniesienia ciszy. Dziewczyna szła wolno, dygocząc z zimna, strachu i samotności.


Wioska żyła w dużym ścisku, pracując i wspierając się wzajemnie, a ona po raz pierwszy poczuła, że już nie jest jej częścią.

Serce waliło jej w piersi, gdy przedzierała się przez gęste poszycie. Każdy nerw napiął się jak cięciwa, choć Zorza wiedziała, że Rada zauważy jej zniknięcie i pośle pogoń dopiero za kilka godzin. Biegła, głęboko do płuc wciągając świeży, sosnowy zapach lasu.

Będzie dobrze.

Śpij, królowno





Potknęła się na wystającym korzeniu. Krzyknęła, poczuwszy, jak sucha gałąź rozdziera skórę na jej policzku.

Będzie dobrze. Muszę tylko znaleźć Bramę przed nimi. Nie odważą się jej przekroczyć!

W południe zwała się na wilgotny mech. Dyszała z wysiłku. Jednym haustem opróżniła pół bukłaka, ale nie pozwoliła sobie na dłuższy odpoczynek.

Pląkała z ulgi, gdy dopadła do Bramy. Tak jak obiecał Demon, w mur wtopiona była stara płyta. Rzędy płaskich kwadratów wciąż jarzyły się słabym blaskiem.

Trzęsa się z nerwów, wciskając je w takiej kolejności, jakiej nauczył ją Hvasca. Wrota ze zgrzytem pękły na pół, a Zorza rzuciła się biegiem w ich metalową gardziel.

64

Po południu znalazła jar, w którym odważyła się rozpaścić niewielkie ognisko z suchych gałązek. Głodna jak wilk, pożarła kolację i umościła sobie legowisko. Hvasca nocą miał podążać jej tropem – śladem upuszczanych po drodze jaskrawożółtych groszków. Musieli odpoczywać, więc nie mogli iść razem.

Ujrzała go o świcie. Mrużył oczy zażawione od zbyt ostrego słońca.

– Co będzie, gdy znajdziemy Dzierżących Blask? – spytała.

Demon uśmiechnął się, policzki błyszcząły mu od łez. Wyglądało to bardzo smutno.

Drugiego dnia upolowała i upiekła ptaka. Połowę starannie odkroiła i owinęła liśćmi w nadziei, że Hvasca zje swoją część, nim zrobi to jakieś zwierzę.

Obudziła się w ciepłe. Sowi Demon spał, ciasno przytulony do jej boku. Obok wygasłego ogniska piętrzył się stos obgryzionych kostek.

Ruszyła dalej.

Zjawił się bezszelestnie. Zmierzch już zapadał, gdy Demon przycupnął przy jej boku w płytkim wykrocie. Zorza dygotała, chłonąc jego ciepło. Walczyła z sennością.

– Przyszedłeś.

Hvasca wyglądał na bardzo zmęczonego – szedł jej śladem za dnia, choć nie powinien.

– Wiesz, dawno temu babka Kandela opowiadała nam baśń. O królownie, która wraz z dworem zasnęła na sto lat i czekała na księcia, by zbudził ją pocałunkiem.

Demon milczał.

– Nie chcę spać – wyszeptała. – Jeśli nie wstanę o świcie... obudź mnie. Choćbym miała czekać sto lat, przysięgnij, że jakoś mnie obudzisz.

Chciałbym – pomyślał, dotykając jej policzka. Ale priony w twoim mózgu już zmieniły jego białka. Nie doczekasz stu lat. Umrzesz we śnie, bo ja nie potrafię cię ocalić.

– Śpij, królowno – powiedział Hvasca cicho, gdy powieki Zorzy opadły.

Nie zauważył nawet, że przesiedział w wykrocie całą noc. Oprzytomniał, poczuwszy na skórze liźnięcia słońca. Dopiero wtedy pochylił się i wycisnął na jej ustach zimny pocałunek.

Nie obudziła się.

Na horyzoncie wstawał świt. Zorza, druga córka *aguiar* Zgromadzenia Prawdziwego Słońca, miała rację.

Został sam.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Magda Brumirska-Zielińska

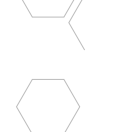
Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Aleksandra Buczyńska, Paweł Sadowski, Kaja Jaroszewska, Patrycja Kurczewska, Ewa Kujaszewska

Śpij, królowno



65



Weryfikacja: Patrycja Pancierz, Michał Gola, Lidia Gręda, Malwina Niewielska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Anna Sikorska, Paula Wanarska, Klaudia Sowiak


LUDZKOŚCI HISTORIA PRAWDZIWA

Adam Raglan

(...) Niniejszy rozdział, będący rozwinięciem myśli o najczęściej popełnianych przez badaczy błędach i zagrożeniach związanych z podróżami międzywszechświatowymi, poświęcony zostanie gatunkowi ludzkiemu, obecnie już rozpoznawanemu w nomenklaturze naukowej jako osobny gatunek, rdzennie wywodzący się z planety zwanej Ziemią. I jakkolwiek temat ten do dziś budzi wiele kontrowersji w środowisku, pozwolę sobie pominąć zasadność lub bezzasadność przytoczonej tezy, nie opatrywać jej własnym komentarzem, lecz jedynie skupić się na przekazaniu zebranych w sprawie powstania ludzkości informacji.

Chodzi o informacje związane bardzo ściśle z wyprawą załogi Evadam, która „(...) nie tyle nawet minęła się ze swoim zadaniem wskutek nierozwagi, niedoświadczenia i zbytniej opieszałości w podejmowaniu kluczowych decyzji, co wobec zaistniałych zdarzeń (...) sprawiło, że załoga doprowadziła do wypaczenia – prostej z pozoru – ekspedycji badawczej do stanu, z którego nie można już było się ani wycofać, ani trwać w nim dalej”¹. A historia tej wyprawy jest na tyle pouczająca i ciekawa, że aż trudno uwierzyć, jak niewiele się o niej mówi i jak rzadko wspomina w środowisku akademickim, podróżników międzywszechświatowych oraz historyków światów odległych.

1 W. Tęwt, *Trzyńście praktycznych metod poznania prawdy o światach*, Elev, Śródgwieździe 795 ZCS.



Dzieje ludzkości to przede wszystkim dwa niedopuszczalne błędy, doskonale znane z nazw. Mało kto jednak wie, skąd te nazwy się wzięły. Mowa o błędzie Ewy (skrót od Evadam) – sztucznym, zwykle nieumyślnym tworzeniu nowych gatunków na nowo odkrywanych planetach/kontynentach – i błędzie Boga/Stwórcy – sztucznym, zwykle nieumyślnym tworzeniu religii w nowo poznawanych cywilizacjach. W przypadku połączenia obu tych zjawisk w obrębie tego samego gatunku (pierwsza taka sytuacja miała miejsce właśnie na wspomnianej Ziemi) mówi się o Błędzie Ludzkości.

Wyprawa Evadam odbyła się w okresie Intensywnej Eksploracji, dokładnie omówionym w poprzednim rozdziale. Gwoli wprowadzenia warto jednak wspomnieć o dwóch najważniejszych czynnikach, które miały bardzo duży wpływ na powstanie i dalsze działania załogi. Przede wszystkim nie istniało jeszcze w tamtym czasie szczegółowe prawo dotyczące zasad, którymi naukowcy, podróżnicy i badacze odwiedzający inne wszechświaty mieliby się kierować.

Za sprawą powyższego, a także przez panujący wtedy ogromny nacisk na wysyłanie kolejnych ekspedycji do nowo odkrytych wszechświatów w celu poszukiwania terenów możliwych do zamieszkania lub eksploatacji, często robiono to bez dokładnych analiz, szacunków i odpowiedniego przygotowania, stawiając na liczbę tego typu wypraw bardziej niż na ich jakość. Zanim stosowne prawo zostało wprowadzone, doszło do bardzo wielu niebezpiecznych i tragicznych wypadków oraz sytuacji podobnych do tej, jaka wydarzyła się na Ziemi.

Wyżej wymienione błędy przedstawię właśnie na podstawie historii ludzkości.

Błąd Ewy

Załoga Evadam przybyła na Ziemię w składzie kilkudziesięciu osobników. Był to wówczas standardowy zespół, złożony z różnego rodzaju specjalistów i pomocników, bardziej lub mniej doświadczonych w wyprawach międzyplanetarnych i międzywszechświatowych. Zanim jeszcze zaczęli


eksplorację nowego obszaru, przeszli regulaminowy proces asymilacji, inaczej sapiensacji, polegający na dopasowaniu się w sposób biologiczny do warunków panujących na świeżo poznanym terenie. Załoga kozystwała z najpopularniejszej, najtańszej i niestety najbardziej wadliwej ówczesnej techniki asymilacji, zwanej kontynuacją ewolucji.

Metoda ta wykorzystywana była powszechnie w nowo poznanych środowiskach niezamieszkiwanych jeszcze przez żadne rozwinięte cywilizacje. Polegała na zasymilowaniu inteligentnego gatunku idealnie dopasowanego do warunków panujących na planecie. Członkowie wyprawy przybierali opracowaną komputerowo formę na czas trwania badań w nowym środowisku. Pod jej postacią przeprowadzali wszystkie niezbędne eksperymenty.


Zaletami tej metody były szybkie przystosowywanie załogi do rozpoczęcia pożądanych prac oraz brak konieczności przygotowywania specjalistycznych kombinezonów dostosowanych do działania w kompletnie odmiennych biologicznie i fizycznie biomach. Jednakże dopasowania zwykle były dalekie od ideałów i wielokrotnie zdarzało się, że utrudniały, a wręcz uniemożliwiały załodze nie tyle prowadzenie badań, ile obsługę sprzętu i powrót do rdzennej postaci. Ogrom wypadków z nią związanych ostatecznie doprowadził do całkowitego jej zakazania mniej więcej w połowie okresu Intensywnej Eksploracji².

Jednakże załoga Evadam pod tym akurat względem mogła poszczycić się niezwykle szczęściem. Podczas asymilacji osiągnęła pełen sukces. Wygenerowane przez komputer formy były doskonałymi narzędziami przystosowanymi niemal idealnie do skomplikowanych prac mentalnych i manualnych. Nie sposób jednak pominąć faktu, że stało się to zapewne tylko dzięki temu, iż na Ziemi w tamtym okresie żyły już rozwinięte istoty, którym brakowało jednego czy dwóch ogniw ewolucyjnych do osiągnięcia formy przybranej przez załogę. Opracowanie odpowiedniej postaci było więc niezwykle proste dla specjalistycznych systemów.


2 Więcej informacji na temat metody kontynuacji ewolucji można znaleźć w książce A. Bygłej, *Sapiensacja w dziejach Errary, czyli od zmiennocieplnych do naczelnych w pół dnia*.



Zdawać by się mogło, że badacze mieli niebywale ułatwione zadanie. W zasadzie nic nie stało na przeszkodzie dokładnemu zbadaniu terenu, jak się potem okazało, bardzo obiecującego. Jednak to, co miało tak pomóc załodze, ostatecznie doprowadziło do zakończenia misji druzgocącą klęską. Asymilacja okazała się całkowita.



Załoga Evadam została dopasowana do zastanego środowiska w sposób przewyższający oczekiwania samych twórców metody kontynuacji ewolucji. Członkowie ekspedycji zeszli na Ziemię w postaci istot, które osiągnęły niejaki szczyt ewolucyjny. Jej badanie i szczegółowa eksploracja w takich warunkach nie mogły sprawiać żadnych problemów i takowych nie odnotowano na pierwszym etapie wyprawy. Jednakże organizacje koordynujące prace załogi Evadam postanowiły przedłużyć trwanie ekspedycji do kilku lat ze względu na osiągnane sukcesy widoczne we wstępnych raportach. Na ten czas, oprócz dalszych badań terenu, przewidziane zostały również przygotowania do integracji planety z pobliskimi, zamieszkanymi już systemami. Do tego jednak nigdy nie doszło, mimo dużego zaawansowania prac. Spowodowała to sama załoga, która – jak się okazało – znalazła się w punkcie uniemożliwiającym jej opuszczenie planety.



Powrót Evadam przez specjalnie przygotowany z zewnątrz tunel był czynnikiem w tamtym okresie absolutnie niezbędnym do utworzenia stałego połączenia z Ziemią i całym jej uniwersum. Nie znano jeszcze innych metod łączenia wszechświatów i sprowadzania na rdzenne tereny zespołów eksploracyjnych, jak poprzez utwardzanie, czyli ustabilizowanie zewnętrznych tuneli. Trzeba także zauważyć, że nie jest to ani niebezpieczna, ani trudna do zastosowania technologia. Problem polegał jednak na tym, iż utwardzenie tunelu okazało się niewykonalne, gdyż załoga odmówiła wykonania tego manewru. Liczba członków Evadam, jak się okazało, przekraczała już bowiem w tamtym czasie 100 osobników.


W raportach można odnaleźć wzmiankę o początkach rozmnażania płciowego, któremu poddali się członkowie ekipy, korzystający z nowych form nadanych przez systemy operacyjne. Takie modele wśród korzystających z procesów asymilacyjnych potocznie nazywane są

sapiensami i taką też nazwę przyjęli członkowie Evadam, a następnie zaczęli tak określać również swoje potomstwo. Jakkolwiek nie jest to pierwszy znany przypadek rozmnażania się załóg pod nowymi postaciami, tak jest to pierwszy, który osiągnął skalę globalną.

Zanim udało się utworzyć stabilny tunel międzywszechświatowy, załoga Evadam zdążyła założyć niewielkich rozmiarów osadę na planecie Ziemia – początkowo będącą jedynie centrum badawczym. Jednakże specyfika przyjętego przez nich gatunku zakłada niezwykle silny związek emocjonalny zarówno z całym społeczeństwem, jak i przede wszystkim z własnym potomstwem. Wizja opuszczenia nowo założonych rodzin i podróży w celu ustabilizowania tunelu, która z pewnością trwałaby zbyt długo, aby liczyć na ponowne spotkanie z bliskimi, już wtedy była dla nich nie do przyjęcia.

Ważnym elementem wpływającym nie tyle nawet na sam fakt rozmnażania, ile na zmniejszenie wagi misji wśród zespołu, było ciągle pozostawanie w formie sapiensowej. Członkowie ekspedycji nie wracali do swoich rdzennych postaci od momentu pierwszego dopasowania, co znacznie wpłynęło na świadome odrzucenie dawnego życia. Przyzwyczajenie do nowego, przyjaznego środowiska i swoboda, jaką poczuli, zakładając tam pierwszą, niezależną osadę, jak również samowystarczalność i przystosowanie do terenu spowodowały, że załoga Evadam nigdy już Ziemi nie opuściła. Warto wspomnieć przy tym fakt, iż potomkowie załogi nie byli zdolni przyjąć już formy innej niż sapiensowa, przez co nie mogli zostać zabrani ze wspomnianej planety wraz z rodzinami.


Początkowo nie wierzono nawet, że tak niewielka grupa osobników mogłaby przyczynić się do powstania trwałej populacji. Sami członkowie załogi podejrzewali, że osada przetrwa zaledwie kilka pokoleń i będzie powoli wymierać. W jaki sposób jednak doszło do tak gwałtownego rozmnożenia się sapiensów na Ziemi – ich liczebność wzrosła do poziomu utworzenia stabilnej kolonii – pozostaje zagadką. Najbardziej prawdopodobna teoria mówi, że pierwotni członkowie załogi, korzystając z programów asymilacyjnych i dostępnych maszyn, założyli bazę



zarodków uwzględniającą niezbędną do przetrwania różnorodność genetyczną. Nie zostały wprawdzie zachowane żadne dokumenty, które by to potwierdzały, lecz dokładnie w ten sposób postąpiły dwie inne załogi wiele lat później, gdy znalazły się w podobnej sytuacji, o czym będzie mowa w kolejnych rozdziałach.

W ten sposób, po raz pierwszy w znanych nam wszechświatach, doszło do stworzenia na nowo odkrytej planecie nowego, rozumnego gatunku, który całkowicie ją zasiedlił i zdominował, tworząc rozwiniętą cywilizację.

Błąd Boga/Stwórcy



Kolejny spotykany błąd badaczy i odkrywców polega na sztucznym wprowadzeniu w rozumnej rasie elementu religijnego w postaci Boga. Postać boga/bogów występuje w systemach religijnych opierających się na kulcie nadzwyczajnej boskiej jednostki/jednostek, zwykle utożsamianych z przedstawicielami danego gatunku lub jego hybrydami. Wiadomo, że systemy takie nigdy nie występują naturalnie i we wszystkich odnotowanych przypadkach były jedynie efektem ubocznym prób kontaktowania się cywilizacji bardziej rozwiniętych z mniej rozwiniętymi.

W przypadku ludzi – sapiensów zamieszkujących Ziemię – miało to związek z niestrudzonymi próbami kontaktu z załogą Evadam oraz jej potomkami i dotarcia do nich w celu przekonania do ostatecznego wypełnienia misji, a także utwardzenia tunelu. Niestety w tym wypadku zawiodły techniki precyzyjnego obliczania upływu czasu. Z powodu znikomej ilości informacji na temat wszechświata, w którym znajduje się planeta Ziemia, przy podejmowaniu licznych prób kontaktu z jej mieszkańcami prawie niemożliwe było dostosowanie pojawiania się kolejnych informacji do długości życia człowieka. Z raportów wynika, że pierwsze dwa wyraźne komunikaty dotarły na planetę jeszcze za życia samych członków załogi Evadam lub ich dzieci. Następne jednak zostały rozrzucone w bardzo długim okresie, gdy ludzkość zdążyła się już rozprzestrzenić na większość kontynentów i stworzyć niezależne cywilizacje.

Wiadomo również, że z Ziemią próbowali kontaktować się nie tylko organizacje bezpośrednio związane z wyprawą Evadam, ale też inne, liczące na przejście zarówno ludzi, jak i samej planety, aby wykorzystać ich do własnych celów. Odnotowano także przypadki kontaktu z Ziemianami jednostek niezależnych, idealistycznych, wspierających nowych mieszkańców i pragnących przekonać ich do współtworzenia idealnego społeczeństwa, opierającego się na zasadach miłości i braterstwa, a przede wszystkim nieulegania naciskom międzyplanetarnych przedsięwzięciom. Niekontrolowany chaos informacyjny trwał przez długie lata, zanim zarządzono obserwacje, po których objęto ludzi prawem rezerwatowym i zakazano jakiegokolwiek kontaktu z nimi.

Badania dowodzą, że ludzkość już po kilkunastu pokoleniach miała bardzo mgliste pojęcie o swoim pochodzeniu i wszelkie wiadomości otrzymywane spoza swojej planety zaczęła odbierać właśnie jako próby porozumiewania się z nią istoty boskiej / istot boskich. Wpłynęły na to powtarzane w setkach komunikatów zwroty takie jak „powrót do domu/ojczyzny/matki/ojca”, „posłuszeństwo przodkom/ojcom/stwórcom”, „czekające królestwo niebieskie” (jako obietnica dostatniego życia dla tych, którzy zdecydują się wrócić) i wiele, wiele innych.

Systemy religijne zostały rozwinięte do tego stopnia, że wszystko, co znalazło się w komunikacie skierowanym na Ziemię, odbierane było już jako boskie (niebiańskie), jak chociażby siedem kręgów/światów charakterystycznych dla naszego wszechświata, występujących w wielu wierzeniach ludzi, czy prawo karmy przeinaczone przez człowieka do poziomu ezoterycznego.

Liczne niespójne kontakty doprowadziły do stworzenia na Ziemi cywilizacji wysoce religijnych, lecz o wyznaniach skrajnie odmiennych. Przy ogromnej różnorodności wierzeń wprowadzających niezwykle chaos w ich życie, na tak małej powierzchni jak jedna planeta, aż trudno uwierzyć, że ludzkość w ogóle zdołała osiągnąć poziom cywilizacyjny, jaki reprezentuje dzisiaj.

Wiele szacunków wskazywało na to, że nierozważne i niekontrolowane jeszcze do niedawna kontakty z ludzkością, które zaowocowały

pojawieniem się na Ziemi boskości, doprowadzą do wewnętrznego rozpadu i wyniszczenia się gatunku. Z niewiadomych przyczyn żadna z negatywnych prognoz do tej pory się nie sprawdziła, co więcej – ludzie zdają się coraz lepiej uczyć kooperować ze sobą bez względu na wyznaczenie, co jest niewyobrażalnym osiągnięciem, do tej pory niespotykanym w takiej skali i na takim poziomie cywilizacyjnym. Wróży to ogromny sukces dalszemu rozwojowi człowieczeństwa.

Błąd Ludzkości

Jak wspomniano we wstępie tego rozdziału, Błędem Ludzkości nazywamy oba opisane wyżej błędy badaczy i podróżników międzywszechświatowych, występujące symultanicznie i odnoszące się do jednego gatunku.

Trudno jednak nie zauważyć, że nazwa już na pierwszy rzut oka wydaje się niesłuszna, a nawet krzywdząca dla samej ludzkości. Bowiem to nie ona wysłała załogę Evadam na Ziemię, ale była tej wyprawy owocem. Również nie ludzkość poprzez nieuwagę i brak przewidywalności stworzyła swoich bogów, lecz są oni efektem działań cywilizacji zewnętrznych. Efektem szkodliwym i nieomal fatalnym dla niczemu niewinnej ludzkości, która stała się jedynie ofiarą nieodpowiedzialnych zabiegów, również tych badaczy, którzy pozornie chcieli przecież dobrze.

Ludzkość sama w sobie żadnego błędu więc nie popełniła, poza tym jednym, że w ogóle powstała. (...)

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Dawid Wiktorski

Weryfikacja redakcji: Agnieszka Stawarczyk

Korekta: Ewa Paleczna, Ilona Skrzypczak-Żurawska, Agnieszka Kolenda

Weryfikacja: Joanna Gasińska, Magdalena Kłodowska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Anna Baj, Aleksander Killman, Anna Sikorska

PÓŹNIEJ


Błażej Jaworowski

Teraz (1)

To nie miało tak wyglądać.

Pamiętam, jak waliły się budynki, które Poprzedni stworzyli podczas Osobliwości. Coś pięknego. Sztokholm zrzucający pióra, pozostawiający po sobie rozgałęzione szkielety, wyglądające niczym Lothlorien po kryzysie ekologicznym. Lawiny płynące wzwyż po zboczach Odwróconej Góry w Osace. Całe dzielnice Paryża rozpadające się na lekkie strzępki, niesione wiatrem niby nasiona dmuchawca. Te katastrofy-choreografie, przywodzące na myśl wzory z przewracających się kostek domina, pozwalały się łudzić, że indeks foliacji – owa ezoteryczna liczba, wokół której Poprzedni zbudowali swoją cywilizację – miał związek z czymś realnym. Jakimś dobrem. Albo przynajmniej pięknem. Na początku mojej niewoli wyobrażałem sobie, że podobny koniec spotka cały świat, a wraz z nim Cerebron REVEXP. Ale i ta przyjemność została mi odebrana.

Cerebrony, postbiologiczne superkomputery Poprzednich, psuły się inaczej. Wyglądało to bardziej jak starość. Jak gnicie. Wylewy z magistrali krwionośnych, powodzie krwi, w których tonęły dziesiątki antropocytów. Nowotwory wielkie niczym ciężarówki. Samorodne, autoteliczne świadomości, przejmujące władzę nad neuronami diagnostycznymi



i ukrywające swoje istnienie z hakerską skutecznością. Choroby neurodegeneracyjne wywoływane coraz bardziej skażonym powietrzem i pokarmem. Ponadludzkie umysły zapadające na demencję, parkinsona, alzheimera. Zapętłające się, rozsypujące na części, występujące same przeciw sobie. W końcu odmowa przyjmowania pokarmu-paliwa. Z początku, przy mniejszych kryzysach, Poprzedni próbowali jeszcze naprawiać swoje superkomputery, ale potem po prostu wykorzystywali je do granic możliwości i porzucali. Przybywali tylko stwierdzić zgon.

Cerebron REVEXP zdechł mniej więcej dwie godziny temu, jak poinformował komunikat wyświetlony na ścianie mojej celi. Mnie, skrypturę, również wkrótce czeka śmierć, choć nie wiem kiedy i jaka. Mój mózg stanowił żywy moduł pamięci, żywy dysk cerebronu. Teraz przestałem być potrzebny.

Cieszę się z tego. Czuję się nieważki, wolny, po raz pierwszy od kilkuset lat. Oczekiwanie na koniec przypomina spadek swobodny, ostatnie chwile przed uderzeniem w ziemię. Wreszcie jestem bezużyteczny. Jak rakowa samoświadomość w cerebronie, jak Poprzedni. Sam dla siebie. Celebрую to. Robię niepotrzebne rzeczy. Tańczę. Przywołuję wspomnienia. Rozmyślam nad początkiem Wszechświata. Mówię do siebie. Jako skryptura widziałem setki lat historii z tysięcy perspektyw, ludzkich i nieludzkich. Mogę opisać całe dzieje tego świata – a cóż może być bardziej niepotrzebnego niż opowieść bez słuchacza?

Wcześniej (1)

Pamiętam czasy, kiedy nawet sam czas znaczył co innego. Kiedy miał tylko jeden kierunek, pokrywający się z kierunkiem postępu. Kiedy istniała tylko jedna ludzka rasa. Przypominam sobie jej lęki, małe, niewinne: o swoje życie, o swoje dzieci, pracę, zdrowie... Byli wprawdzie i tacy, którzy bali się o całą cywilizację: że wpadnie w pętlę wiecznie rosnących nierówności i wyzysku albo że czeka ją klimatyczna apokalipsa. Ale w świetle późniejszych wydarzeń nawet oni okazali się niepoprawnymi optymistami. Któż jednak mógł przewidzieć wynalezienie podróży w czasie?

Teraz (2)

Poczucie swobody się ulotniło. Wolność istnieje tylko w mojej głowie, ciało jest wciąż uwięzione w celi. Trzy na trzy metry, gołe ściany, żadnych przedmiotów, mebli, poza matą do spania. We wznoszącej się nad cerebronem wieży o trzech cienkich, wijących się wspornikach, przypominającej trójnóg z „Wojny światów”. Podobnych konstrukcji jest dwadzieścia trzy, a w każdej z nich znajduje się skrypta podobny do mnie.


Uderzam pięściami w ściany, licząc nie wiadomo na co – wciąż są tak samo twarde, idealnie gładkie, bez żadnego śladu wyjścia. Czuję się jak starszy człowiek, niezdolny do opuszczenia własnego mieszkania, zmuszony do spędzania dni na obserwowaniu ulicy za oknem.

Ja za oknem mam cerebron. Choć jest superkomputerem, budzi skojarzenia raczej z kompleksem przemysłowym: elektrownią, rafinerią, fabryką – z tą tylko różnicą, że wszystkie jego elementy jeszcze do niedawna były żywe. A zamiast z węgla czy ropy energię czerpał ze zboża o kryształowych kłosach, uprawianego pod rozciągającymi się po horyzont namiotami Błony (chroniącymi pola przed trującym powietrzem), przywożonego pociągami i zrzucanego do ogromnych paszcz lejów pokarmowych.


Teraz cały ten pejzaż jest martwy. Błona się rozkłada, strzępi, wygląda jak ogromna pajęczyna potargana wiatrem. Żyjący pod jej powierzchnią ludzie-mrówki zapewne już wyginęli. Rozkłada się i sam cerebron. Ze stanowiących centralny punkt kompleksu monstualnych kopuł, dosłownie czaszek (wszak chroniły myślącą materię), schodzą teraz płyty gnijącej skóry. Rury krwionośne popękały, kable nerwowe są pozrywane. Wszędzie leżą maleńkie, w porównaniu do struktur cerebronu, trupy antropocytów, dotychczas odpowiedzialnych za utrzymanie go przy życiu. Leje pokarmowe są szczelnie zaciśnięte, a rzeka produkowanych przez procesy trawienne ekskrementów wyschła, pozostawiając w swoim korycie bagno, którego zapachu wolałbym sobie nie wyobrażać. Na południu mieni się zespół destabilizujących się portali ferycznych, świetliste ameby na przemian rosnące i kurczące się,

Później






bezustannie zmieniające swój kształt. Kiedyś do części z nich sięgały drzewiaste wypustki, za pomocą których cerebron odbierał zapisane w macierzach syntetycznego DNA rozkazy z przeszłości i odpowiadał tak samo zakodowanymi wynikami obliczeń. Teraz organ ten zwiędł i opadł na niepracujący już taśmociąg, odprowadzający śmieci z portali. Kaprys fizyki powodował, że podróż w czasie była możliwa tylko pod warunkiem zachowania masy. Cerebron produkował dużo więcej, niż otrzymywał, więc przeszłość wysyłała w odpowiedzi to, czego miała nadmiar: odpady.



Kontemplując wszechobecny rozkład, uświadamiam sobie, że czuję głód. Nie ten fizyczny, ale związany z Wnęką, obiektem, dzięki któremu cerebron miał dostęp do mojego umysłu. Przypominała pionową, nieustannie falującą taflę wody, jednak kiedy tylko znajdowałem się w jej pobliżu, wypuszczała dziesiątki wici podobnych do wyładowań elektrycznych, starając się wciągnąć mnie pod powierzchnię. I codziennie na to pozwalałem. Nienawidziłem stanu Zanurzenia, ale Poprzedni wdrukowali w mój umysł uzależnienie od niego. Wolałem umrzeć, niż znów go przeżywać, jednak narastający głód Wnęki byłby jeszcze gorszy. A samobójstwo nie wchodziło w grę. W celi nie znajdował się żaden ostry przedmiot, a szyby nie dało się wybić. Nie mogłem nawet się zagłodzić. Jako skryptura nie jadłem, substancje odżywcze teleportowano mi prosto do żył.



Wnęka zniknęła w momencie śmierci cerebronu. Ale nałóg najwyraźniej pozostał, choć osłabł. Narasta we mnie lęk. Czemu rozkład nie dotyka wież? Czy cela nadal mnie karmi? A jeśli przestała i pozostawiono mnie na śmierć z głodu, jak długo będzie trwała agonია? Co uzależnienie zdąży zrobić z moim mózgiem?

Wracam do swojej opowieści, aby o tym nie myśleć.

Wcześniej (2)

Technologia portali ferycznych miała swoje ograniczenia – na przykład nie dało się cofnąć w przeszłość dalej niż do momentu ich budowy. Ale i tak zmieniła wszystko. Pozwoliła na „ekstemporalizację kosztów”: pracę,

produkcję czy obliczenia przenoszono w przyszłość, aby gotowym efektem cieszyć się od razu. Jeszcze lepiej było z odkryciami – ściągnięcie wynalazku z przyszłości oznaczało, że nie musi on być wynaleziony, bo przyszły wynalazca może po prostu skopiować to, co my już mamy. Nowe technologie pojawiały się znikąd. Tak robiło się biznes na paradoksach.


Postęp nagle eskalował. A to wymusiło przyspieszenie subiektywnego czasu, coraz szybsze przetwarzanie danych, aby tylko nie zostać w tyle. Ludzie zespolili się z maszynami lub zupełnie uwolnili z ciała, przekształcając się w istoty, które dziś nazywam Poprzednimi. Ten proces napędzał sam siebie, przyspieszenie wymuszało przyspieszenie.

Jednak w wyścigu wzięli udział tylko ci, których było na to stać. Cała reszta, w tym ja i wielu pozostałych autorów moich wspomnień, patrzyła na to z zewnątrz. Codziennie budziliśmy się w świecie innym niż ten, w którym zasypialiśmy. Znikały budynki, miejscowości, ekosystemy. Zastępowano je nowymi, zupełnie nieprzypominającymi oryginałów. Zdarzało się, że w ciągu jednej nocy na miejscu całej dzielnicy w centrum miasta wyrastała winda kosmiczna. Albo osiedle któregoś szczepu Poprzednich, wyglądające jak gigantyczna kolonia koralowców. Które zresztą następnego dnia mogło stać się czymś zupełnie innym.

Zmieniała się też rzeczywistość ekonomiczna. Wciąż pracowaliśmy, ale wykonywaliśmy coraz mniej zrozumiałe zadania. Pieniądze ciągle były w obiegu, jednak niekiedy płaciliśmy nimi chmurom nanorobotów albo dziwnym kwiatom, które dopiero za odpowiednią opłatą uwalniały jadalne owoce. Z biegiem czasu zmniejszał się zakres rzeczy, które mogliśmy kupić, aż w końcu nasze wypłaty wystarczały wyłącznie na opłacenie ustandaryzowanego jedzenia i mieszkania, a potem także powietrza. Praca stopniowo stawała się niewolnictwem. Podmieniano nam ciała, kawałek po kawałku, przekształcając nas w maszyny zaprojektowane do konkretnych celów.

A Poprzedni wciąż ewoluowali, nieustannie dążąc ku wyższemu indeksowi foliacji. Co to znaczy? Ja, istota podrzędna, nie jestem nawet w stanie zrozumieć definicji tego pojęcia. Wiem jedynie tyle, że było ono zaczerpnięte z auksonomii, nauki Poprzednich badającej sam postęp. Miało

Później



być miarą rozwoju cywilizacji i jak każda miara – niedoskonałą i zdefiniowaną w pewnym stopniu arbitralnie. Ale uczyniono tę wielkość czymś więcej: celem. Z biegiem czasu sama dynamika konkurencji między postludźmi sprawiła, że wszystkie aspekty ich życia zostały podporządkowane zwiększaniu indeksu foliacji. Ta maksymalizacja stała się fundamentalną zasadą ewolucji, równie niepodważalną jak prawa fizyki.

W końcu Poprzedni osiągnęli Punkt Omega, Osobliwość, najwyższe stadium rozwoju. Pamiętam ten moment. Cały świat na kilka godzin stanął w niezwykłych, zimnych płomieniach, wyglądających jak pęknięcia w bloku szkła, ale wciąż rosnące, przekształcające się, żywe. Ten ogień był najdoskonalszą formą istnienia postludzi, zawierał w sobie całe światy, a w jego wnętrzu każda sekunda trwała co najmniej tyle, ile istnienie Układu Słonecznego. Ale dla Poprzednich istotne było tylko to, że indeks foliacji osiągnął wtedy wartość nieskończoną. Teraz mogli przestać istnieć.

Kiedy opadły popioły, pozostał zaciągnięty przez Poprzednich dług. Realny, fizyczny, nieodwołalny. Ktoś musiał go spłacić i byliśmy to my oraz nasi potomkowie.

Teraz (3)

Krajobraz zmienił się, kiedy spałem. Brakuje wież. Dwudziestu. Nie, nie brakuje, są, ale wyglądają, jakby przysiadły – ich wsporniki zwinęły się, sprowadzając cele do poziomu gruntu. A więc jednak, dobijają nas. Przez moje ciało przepływa fala ulgi.

Jest jeszcze jedna zmiana. Największy z portali ferycznych – ten, który służył raczej transportowi ciężkiego sprzętu niż macierzy DNA – ustabilizował się ponownie, a na jego platformie startowej znajduje się spora grupa jakichś istot. Niestety szczegółów nie jestem w stanie dojrzeć, bo otacza je półprzezroczysta, niebieskawa kopuła, jakby pole siłowe.

Wkrótce od tego bąbla oddzieli się jeszcze jeden, osłaniający trójkę postaci, które kierują się w stronę jednej z pozostałych wież. A ta przysiada z gracją niepasującą do gnijącego świata wokół. Istoty

podchodzą do niej, lecz skryptura nie zostaje zabity – kiedy wracają, jest ich czwórka.

Nic nie rozumiem.

Wcześniej (3)

Aby spłacić dług zaciągnięty przez Poprzednich, świat musiał zostać przemieniony raz jeszcze. Teraz wszystko musiało służyć. Powstała cała półbiologiczna infrastruktura, w tym uterony i cerebrony, fabryki i superkomputery. Tych, którzy pozostali biologicznie ludźmi, przekształcono w rasy niewolników, mające wprawiać je w ruch.


Odkąd uczyniono mnie skrypturą i uwięziono, większość czasu musiałem spędzać w Zanurzeniu. Co działo się, kiedy przekraczałem Wnękę? Nie wiem. Może rozpadałem się, a kwantowa informacja niesiona przez atomy mojego ciała rozplýwała się po sieci splątanych cząstek w neuronach cerebronu. A może była to po prostu sugestywna rzeczywistość wirtualna.

Czasem Zanurzenie wyzwalało mnie z ciała. W ten sposób cerebron pokazywał mi świat. Mogłem wtedy unosić się w powietrzu i natychmiastowo podróżować z miejsca na miejsce, jak dusza w out of body experience. Kiedy tylko spojrzałem na jakiś przedmiot, miejsce bądź istotę żywą, cerebron wciskał mi do głowy informacje na ich temat. To bolało. Miałem wrażenie, że wwierca mi się do mózgu i włącza do niego ciecz pod ogromnym ciśnieniem. Ale nie mogłem przestać. Na czas Zanurzenia cerebron zmieniał mi osobowość, pozostawiając tylko jedną potrzebę, stającą się obsesją – niepohamowaną ciekawość.

Bolało też, kiedy Wnęka wypluwała mnie z powrotem i uświadamiałem sobie implikację uzyskanej wiedzy – fakt, że kolejne fragmenty świata sprzed Osobliwości przestawały istnieć. Nie wiedziałem, czy cokolwiek z tego, co ujrzałem, było prawdą. Ale jeśli nie, prawda zapewne przedstawiała się dużo gorzej.

W pozostałe dni najczęściej kazano mi przeżywać sceny z żyć innych ludzi albo niższych szczepów Poprzednich, tych, które jeszcze coś łączyło z homo sapiens. Z początku treści te były całkiem różnorodne, czasem

Później



nawet przyjemne. Ale potem stawały się coraz gorsze. Nieszczęśliwe miłości. Traumatyzacja z dzieciństwa. Choroby. Hipersamotność wykluczonych szczepów Poprzednich. Później mentalny kanibalizm i inne rodzaje przemocy, na których opierały się hierarchie ich społeczeństw. Oraz śmierci bliskich osób, wojny, eksterminacje, tortury ludzkie i nieludzkie. Pewnego dnia przyłożono mi do brzucha klatkę z wygłodniałymi szczurami, które zaczęły się wygryzać na wolność przez moje wnętrza. Innym razem moją osobowość zamknięto w ciele-więzieniu, zaprojektowanym tak, aby nawet mrugnięcie okiem wywoływało ból.

A czasem znęcano się nade mną w sposób przekraczający moją percepcję. Wrzucano w światy, których nawet nie potrafię opisać, pozlepiane z niepasujących do siebie myśli i wrażeń – lęków, wstrętu, rozpacz, osaczenia.

Wszystko to wracało do mnie potem we śnie, kiedy umysł próbował złożyć te doświadczenia w jakąś całość.

Do dziś nie znalazłem klucza. Jako skryptura istniałem, aby pamiętać – ale co pamiętać, tak konkretnie? Cerebron odczytywał zawartość mojego mózgu, kiedy tylko chciał, nic mi nie tłumacząc. Raczej nie chodziło o suche fakty. To musiało wymagać interakcji, jak języki. Może chodziło o coś nieświadomego, jakieś potrzeby czy lęki – mogłem być jednym z trybików maszyny tworzącej tę sztuczną umysłową przestrzeń, którą Poprzedni nazywali zbiorową podświadomością. Albo wylęgarnią dla jakichś memetycznych bytów, które po wykluciu żywiły się umysłem nosiciela. Niewykluczone, że stanowiłem jakiś psychiczny skansen, zachowujący „naturę ludzką” rozumianą jako szereg ograniczeń i ułomności. A może chodziło właśnie o ból. Nie dziwiłbym się, jeśli Poprzedni urządzali sobie mentalną turystykę, weekend w głowach dzikusów, którzy jeszcze go odczuwają w tej prymitywnej, zwierzęcej postaci.

Znajdowałem marną pociechę w punktowaniu moim oprawcom niedociągnięć inżynierskich. Nie wierzę w szczególny status człowieka. Czymkolwiek byłem i cokolwiek miałem pamiętać, to samo zrobiłyby kwantowo wspomagane neurony cerebronów – i to dużo wydajniej. Cóż, może efektywność zmniejszała indeks foliacji.

Za to cierpienie niewinnych istot na pewno nie.

Teraz (4)

Przyszli po mnie. Cela drży, a potem lekko opada na ziemię. Jedna ze ścian nagle kruszeje, rozpada się w pył, kiedy ktoś po drugiej stronie uderza w nią delikatnie. Moim oczom ukazuje się trójka strażników, sześcionożnych istot o wielkich, czarnych oczach (takich, jakie wyobrażano sobie u kosmitów), z ośmiorniczymi mackami, wijącymi się wokół ich twarzy jak węże na głowie Meduzy, i pancerzami pokrytymi długimi, metalowymi kolcami. Widziałem ich już wcześniej w moich astralnych podróżach, to oni sprawowali kontrolę nad antropocytami i ludźmi-mrówkami.

– Za mną! – rozkazuje jeden z nich dziwacznym głosem, jednocześnie podobnym i niepodobnym do ludzkiego, jakby specjalnie zaprojektowanym, by brzmiał możliwie najbardziej upiornie.

Idziemy w milczeniu, pod kopułą pola siłowego utrzymującego wokół nas bąbel zdatnego do oddychania powietrza. Kiedy docieramy pod portal, przekazują mnie innym strażnikom, pilnującym zgromadzonej tam grupy dwudziestu jeden skrypturów. Ci, którzy mnie przyprowadzili, ruszają po ostatniego z naszego rodzaju.

Próbuję rozmawiać z moimi towarzyszami, ale żaden z nich nie wie, jaki los nas czeka.

Wcześniej (4)

Działania Poprzednich wiązały się z koszmarną degradacją środowiska. Śmieci przysyłane z przeszłości, ekskrementy cerebronów, wyziewy i odpady z półbiologicznych fabryk... Samo powietrze zaczęło zabijać. Życie – poza biotechnologicznymi tworamii postludzi i tym, co osłonili Błonami – prawie wymarło. W oceanach istniały ogromne martwe strefy, gdzie zaaranżowane przez Poprzednich samoreplikujące się cykle reakcji chemicznych powoli acz nieubłaganie wytrącały z wody morskiej uran i inne cenne pierwiastki. Przy okazji generując toksyczne produkty uboczne, które w postaci bąbli gazu docierały na powierzchnię i uwalniały się

Później

do atmosfery. Zmiany klimatu, rozpoczęte jeszcze przed wynalezieniem portali ferycznych, zostały znacznie wzmocnione. Poprzedni nauczyli się czerpać energię z huraganów, postanowili więc stworzyć wieczną burzę, odpowiednik Wielkiej Czerwonej Plamy z Jowisza. Eksperyment zakończył się sukcesem, okupionym jednak dalszą destabilizacją klimatu. A nawet i-cie-dzieci, regularnie płodzone przez ten cyklon, potrafiły przebyć tysiące kilometrów, zrównując z ziemią wszystko na swojej drodze. Odrodzenie się zajmie przyrodzie miliony lat, jeśli w ogóle jeszcze będzie tu jakaś przyroda.

W pewnym momencie efekty zanieczyszczeń dotknęły też infrastrukturę Poprzednich – tę, która nie rozpadła się krótko po Osobliwości w katastrofach-choreografiach albo wybudowano ją później. Zaczęła się psuć czy raczej: starzeć, gnić, zdychać. Ale Poprzednim to nie przeszkadzało. Praca została wykonana, nieważne, co będzie dalej. Cerebron REVEXP zdechł jako ostatni.

Teraz (5)

84

Błędnik mi ześwirował. Czuję się, jakby porwała mnie wzburzona rzeka. Ktoś z moich towarzyszy krzyczy, przerażony utratą gruntu pod nogami. Wokół nas rozbłyska niematerialna maszynieria portalu, zbudowana z samej przestrzeni i zapętlonego światła, nieustannie się obracająca, wiry wirów.

Kiedy mija początkowy szok, skupiam się na śledzeniu jej ruchów. Nigdy nie podróżowałem w czasie, ale w trakcie moich astralnych wycieczek nieraz patrzyłem na portal. Dzięki temu umiem z epicykli tego syntetycznego firmamentu określić kierunek i prędkość naszego przemieszczania się. Niesie nas w przyszłość. Do tego bardzo daleko. Co sekundę o setki lat.

Przebywamy co najmniej milion, zanim nagle znów pojawia się „dół” i „góra”. Uderzam o platformę odbiorczą. Zero amortyzacji, w końcu to portal towarowy. Wciąż traktują nas jak było.

Kiedy mija ból, spostrzegam, że świat po drugiej stronie portalu jest inny. Czuję wiatr – tu da się oddychać normalnie, bąbel pola siłowego zniknął. Platforma znajduje się pośrodku porośniętej trawą równiny.

Gdzieś w dali pasie się stado jakichś dużych zwierząt, opancerzonych jak żółwie, nad nami zaś krąży rój ptakopodobnych, czteroskrzydłych stworzeń. Czyżby biosfera się odrodziła? Czy odchodzimy na emeryturę i dokonamy swojego życia w normalnym świecie?

Jesteśmy jednak zamknięci. Wokół wciąż krążą strażnicy, a platforma jest otoczona drutem kolczastym. Jest tylko jedna droga wyjścia, również ogrodzona. Prowadzi do znajdującej się w pewnej odległości kopuły.

Czaszki. Dokładnie takiej jak w cerebronach.

– Wstawać, wstawać! – krzyczą na nas jeden ze strażników. – Nie opierdalać się! Co wy myśleliście? Że to już koniec?

To nie miało tak wyglądać.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś

Kontrola redakcji: Anna Dudało

Korekta: Katarzyna Płońska, Anna Dwojnych, Marysia Bernaciak, Paweł Sadowski

Weryfikacja: Joanna Gasińska, Patrycja Pancierz, Magda Kowalewicz, Lidia Gręda

Kontrola weryfikacji: Michał Gola

Kontrola przed składem: Michał Gola, Dawid Wiktorski

Recenzje: Anna Sikorska, Bartosz Bartkiewicz, Paulina Wanarska, Tymoteusz Czyż

KYFOUM, CZYLI SŁOWA


Sylwester Gdela

To nie była łatwa praca. Wymagała wielkiego poświęcenia. Kropli potu spływających po ogorzałych od słońca policzkach. Ran i pęcherzy na wprawnych, choć powoli już sztywniejących palcach. Nieprzespanych nocy, bo czas uciekał coraz prędzej.

Konstruktor czuł, że wkrótce jego dni miną. Lecz jedna rzecz wciąż trzymała go przy życiu, sprawiała, że nie mógł zaznać spokoju w wiecznej ciszy: pragnienie tworzenia. Zostawienia po sobie śladu odbitego w rzeczywistości, kolejnego znaku wpisanego w historię świata.

Wiedział, że jeśli nie podoła temu wyzwaniu, historia się urwie, jej wątki przerwie kłątwa rozkładu. Harował więc niestrudzenie, w samotności, gdyż nie mógł liczyć na żadną pomocną dłoń. Wędrował po świecie, zbierając materiały, dzięki którym ulepiłby swoje Dzieło. Kroczył przez wysychające lasy. Przemierzał pola wypalone do czerni węgla. Odwiedzał miasta zamieszkiwane tylko przez wiatr.

Potem wracał do pracowni, gdzie przesiadywał wśród gęstych wywarów i wiedzy utrwalonej na kartach starych ksiąg. Kruszył na proch uświęcone skały, w których jeszcze tliły się echa magii, i dodawał do stali przetapianej z wyszczerbionych mieczy i pogiętych zbroi, by odlewać z nich części Dzieła. Mosiężne ozdoby przetwarzał w malutkie mechanizmy. Zespałał wszystko w całość, a połączenia uszczelniał



żywicą wyciśniętą z pni martwiejących drzew. W końcu wkomponował w metaliczną matrycę to, co najrzadsze.

Ocalałe cząstki życia, ludzkiego czy też nie...

Gdy Dzieło zyskało już ostateczną formę, pozostało jedynie rozniecić w nim pożar myśli, by mogło stawiać śmiało kroki na wybranej przez siebie drodze, by mogło stawiać czoła nowym wyzwaniom, by mogło stawiać kolejne znaki w historii świata. Konstruktor wlewał więc w nie słowa. Szeptał tysiące tajemnych słów nad bezwładnym ciałem, nasycił je brzmieniem swego głosu.

Aż wreszcie Dzieło otworzyło błyszczące bursztynem oczy, znaczone pionową żrenicą niczym krótkim, delikatnym pociągnięciem pędzla.

Konstruktor osiągnął to, czego pragnął. Twórczą mocą wykuł z resztek dobra niezależną istotę. Nadał do niej przemawiały, lecz nieco oszczędniej, by jej nie zrazić. Dzieło zaś milczało, nie odpowiadało na pytania, ale wiernie wykonywało wszystkie polecenia. Postanowił oprowadzić je po warsztacie. Chciał sprawdzić, czy wszystko pracuje tak, jak powinno. Wsłuchiwał się w śpiew przekładni, w ciche sapanie tłoków wprawiających w ruch nogi, w delikatny świst powietrza wydobywający się z nozdrzy.

Po chwili Konstruktor zdał sobie sprawę z tego, czego wcześniej nie zauważał. Jego przykryta długim, białym zarostem broda zadrdzała. Gdy pierwsza chwila szczęścia minęła, dostrzegł, że Dzieło było zwyczajnie brzydkie; było ludzkim torsem osadzonym na nogach stalowej kukły, z przyszytą głową smoka, karykaturalnie dużą w stosunku do reszty ciała. Jedną rękę miało z krwi i kości, całą upstrzoną bliznami. Drugie ramię, zanadto strawione przez rozkład, Konstruktor musiał zastąpić sztucznym.

Zmartwił się tym niemożliwie. Nie chciał, żeby jego schedę stanowiły okropne maskary, nędzne imitacje stworzeń niegdyś zamieszkujących tę ziemię. Cóż mógł jednak z tym zrobić? Dysponował tylko okruchami dawnego świata, a i sam nie był wybitny w sztukach magicznych ani technicznych. Znał wielu znamienitszych Konstruktorów, lecz oni przepadli, gdy kolejne wojny i zarazy niszczyły wszystko, co żyło.

Dzieło, jakkolwiek obrzydliwe, sprawowało się wyjątkowo dobrze. Spokojnie obchodziło warsztat, przyglądając się rzędom ksiąg na półkach

i stosom szkieł na stołach. W końcu przystanęło i spojrzęło na swoje dłonie, na tłoczki i zawiasy pracujące przy poruszaniu palcami. Zupełnie jakby fascynowało je własne istnienie.

– Czy pamiętasz... śmierć? – zapytał Konstruktor.

Dzieło obróciło głowę w jego stronę. Milczało, pochłaniając bursztynowymi oczyma dostojną, choć nieco już przygniecioną ciężarem łat sylwetkę swego twórcy. Lecz nagle...

– Pamiętam. – Z pokrytego czerwonymi łuskami pyska dobył się chropowaty głos, właściwy dla smoków. – Ale śmierć już odeszła. Umarła. Ty powoli zabijałeś ją każdym słowem wypowiedzianym nad moim ciałem.

Serce Konstruktora drgnęło, oswobodzone z trosk, że wysiłki były marne, że stworzył nieświadomą zabawkę, ruchomą, jednak nie żywą, a wyłącznie bluźnierczo naigrywającą się z życia. Teraz wiedział, że w Dziele gorzał ogień prawdziwej duszy.

– Pamiętasz swoje imię? Jak mam cię zwać? – zastanawiał się, głaszcząc brodę.

– Wszystkie me imiona przepadły wraz ze starym światem – oznajmiło Dzieło. – Na drugie pytanie musisz odpowiedzieć sam.

– Zatem niech będzie Kyfoum.


– Co to oznacza?

– Nie wiem. Jeszcze nie. „Kyfoum” to tylko słowo, tak samo jak ty jesteś moimi słowami wlanymi w ciało. Czas dopiero pokaże, jakie nadasz sobie znaczenie.

I tak oto Konstruktor uzyskał to, czego najbardziej potrzebował; wskrzesił to, czego najbardziej mu brakowało w martwym świecie. Uważnych oczu, by mógł im pokazać to, co najbardziej w życiu kochał: tworzenie.

Nauczył Kyfouma zdolności, które sam kiedyś posiadał. Zapoznawał go ze wszystkimi narzędziami w pracowni, ze szczegółami anatomii, z procesami alchemicznymi, z tajnikami formowania metali, w końcu ze sztuką układania zaklęć. Razem przemierzali świat, by wśród zgliszczy i rozkładu znajdować resztki życia. Razem tworzyli kolejne Dzieła, podobne do Kyfouma – tak w niespójnych ciałach, jak i w pełnych

Kyfoum, czyli Słowa



fascynacji duszach utkanych ze słów. Ogromną stalową modliszkę, w której biło wilcze serce. Centaura z fragmentów ciała zespolonych krystalicznym pancerzem. Pół człowieka, pół niedźwiedzia ze skrzydłami rozpiętymi na drucianej ramie – i wiele innych chimerycznych istot.

Po niezliczonych godzinach trudu Konstruktor zyskał wreszcie liczną gromadę uczniów, na których mógł przelewać swą miłość do kreowania. Lecz wkrótce okazało się, że nie mają już z czego tworzyć: na świecie zostały tylko paździerze i skażone zarazą szkielety. A Konstruktor słabł coraz bardziej i bardziej.

Nie mógł się jednak poddać. Nie, kiedy zaszedł już tak daleko. Podjął ostatni wysiłek, by historia nie dobiegła końca. Zabrał Kyfouma i innych Ożywionych na pustkowie, gdzie wyschniętej glebie ciążyły nagie głazy.

Wszyscy zaczęli mówić, wylewać z siebie potoki słów, licząc, że nasycą spragnioną ziemię, wprawią skały w ruch wartkim nurtem sylab. Układali najpiękniejsze zaklęcia, jakie tylko znali, wypełniali powietrze harmonią myśli wygrywanych głosem. I tak przez dni i noce.

Na próżno. Pustkowie nadal było martwe. Mimo tego Konstruktor wciąż mówił, snuł opowieść pod postacią czarów, aż zaniemógł i upadł, w ostatniej chwili złapany przez swe pierwsze Dzieło.

– Kyfoum... – wyszeptał z trudem.

Nagle ujrzał, jak w skałach coś się kotłuje, odrywa i przekształca w ciało o smukłej sylwetce i błyszczących oczach. Ulepione z zastygłej materii, ale z duszą. Czuł to już po pierwszym spojrzeniu.

Choć nie było już ludzi ani innych dawnych istot, historia mogła trwać dalej. Wystarczyło, że Dzieła wleją w rzeczywistość swój głos, by stworzyć nowe Dzieło.

Konstruktor zastał świat martwy, lecz odszedł dopiero, gdy na powrót uczynił świat żywym. Dziwne to było życie, ale jego własne, jakie sam zrodził w swym umyśle.

Wszystko, co po nim zostało, to Słowa.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Magda Brumirska-Zielińska

Kontrola redakcji: Anna Dudała

Korekta: Paweł Sadowski, Dominika Świątkowska, Kaja Jaroszevska, Ewa Kujaszewska

Weryfikacja: Patrycja Pancerz, Magda Kowalewicz, Anna Twarowska, Michał Gola

Kontrola weryfikacji: Dawid Wiktorski

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Aleksander Killman, Tymoteusz Czyż, Agnieszka Chodkiewicz, Anna Sikorska

MIT ZAŁOŻYCIELSKI

Marek Kolenda

Wybudzono go nagle. Gdy po usunięciu płynu odżywczego otworzył oczy i ujrzał nad sobą dwóch Militarnych, wiedział, że dzieją się rzeczy niezwykajne.

Do stanu używalności doprowadzono go w jakimś pomniejszym ambulatorium, z którego – bosi i w kusej, odsłaniającej tyłek koszuli – z obstawą podreptał do windy towarowej. Zatrzymała się dopiero na pokładzie oficerskim.

Zmarzł i nadal był w szoku pohibernacyjnym, ale znosił to w milczeniu. Każda godzina lotu spędzona poza sarkofagiem przekładała się na stan konta. Tak miał zapisane w kontrakcie. A każdy dodatkowy *coin* na koncie windował go w hierarchii nowego świata.


Gdy maszerowali na mostek kapitański, odkrył, że kamery zaklejono taśmą. Proste i skuteczne.

I niepokojące na statku, którego pasażerowie śpią od pół wieku.

Po dotarciu na miejsce zorientował się, że Początek ma teraz nowego kapitana. Były Pierwszy – drobny i wystraszony facet – wyglądał na równie zaskoczonego awansem. Poza nimi w sterówce przebywał jeszcze szpakowaty wojskowy.

Milczenie zakłócanie szmerem minidroidów porządkowych przerwał kapitan:





- Załóżmy, że Ziemi już nie ma. Atmosfera planety została zniszczona przez gwałtowną burzę słoneczną.

Przeanalizował zasłyszane słowa.

- To bzdura, prawda?

- Prawda. Ale obudzono cię, żebyś umieścił to zdarzenie w pamięci statku. Dasz radę?

Domyślał się, ile zależy od odpowiedzi.

- Z pomocą SI tak. Problemem jest ingerencja w aktywny system.

Kapitan chrząknął.

- Będziesz pracował na izolowanym systemie rezerwowym. Dostaniesz dokładne wytyczne.

Przytaknął, a potem zebrał się na odwagę.

- Po co wam to? Chcecie stanu wyjątkowego?

- W takiej sytuacji wojsko legalnie przejmuje władzę. Chodzi o procedury. Ograniczenia swobód, przepływ informacji, dystrybucję dóbr i technologii – odpowiedział oficer.

Żegnaj, Nowa Ziemia, wolna od wad świata, który zostawili za sobą. Ich wspólne marzenie umierało na jego oczach. Umierało jak wszystkie utopie.

- A jeśli odmówię?

Kapitan spojrzał w kąt, gdzie dwa droidy walczyły z brunatną plamą na wykładzinie. Tani chwyt, ale po wojskowych trudno spodziewać się finezji.

- I co potem? Zaśniesz w komorze jak gdyby nigdy nic? Chyba zdajesz sobie sprawę, że są zawodne? Dołącz do nas, a po wykonanej robocie będziesz mógł spokojnie wrócić do sarkofagu.

- Który też ulegnie awarii?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Niekoniecznie. Nowy porządek będzie potrzebował oddanych sprawie specjalistów. Oczywiście możesz pozostać w stanie wybudzenia. Ale to bardzo długa podróż. Lądowania i tak nie doczekasz.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dwuznacznie.

- Wiesz, ilu mamy informatyków wśród ośmiu tysięcy kolonistów? – zapytał Militarny.

- Stu trzydziestu jeden.
- Aktualnie stu dwudziestu sześciu. Sam widzisz, wybór jest nadal spory.

Zrozumiał.

- Dlaczego ja?

- Powiedzmy, że zaimponowała nam twoja... mało legalna przeszłość.

Wciąż myślał intensywnie. Rozważał dostępne opcje. Rezultat był zawsze ten sam.

- Wchodzę w to.

Godzinę później trafił do małej kabiny wciśniętej w kąt ładowni numer siedem, gdzie przenieśli jego rzeczy. Miejsca było niewiele, w pomieszczeniu walały się pamiątki po poprzednikach. Nad łóżkiem wciąż wisiło czyjeś zdjęcie rodzinne.

Kolejne dni nie różniły się od siebie. O szóstej – ryk syreny alarmowej. Kilka minut na poranną toaletę. Śniadanie przynosił zawsze ten sam milczący strażnik. Unikał kontaktu wzrokowego i był wyraźnie wystraszony. Nawet bardziej niż więźniń.


Reszta dnia upływała w ładowni numer siedem, gdzie umieszczono Mózg rezerwowy.

Odziany w kombinezon termiczny wpełzał przez sterylną śluzę powietrzną do wnętrza tytanowego sześcianu. W środku było ciasno – większość pomieszczenia zajmowała sferyczna, przezroczysta komora, wypełniona ekranującym chłodzikiem. W kulistej przestrzeni, niczym embrion w macicy, unosił się srebrzysty dysk o kilkumetrowej średnicy, w którego wnętrzu panowała temperatura niższa od temperatury międzygwiazdnej pustki. Koliste powierzchnie po obu stronach dysku pokrywały wypukłe ornamenty przypominające rozetę. Całość wyglądała raczej jak dzieło sztuki niż maszyna obliczeniowa o niewyobrażalnej mocy.

Codziennie przed założeniem hełmu wpatrywał się z podziwem i nadzieją w ten cud ludzkiej inwencji. Potem przywoływał asystę


Mit założycielski





autonomicznej SI, podpinał się do portu i wspólnie nurkowali w przestrzeni algorytmów oraz rejestrów kwantowych. Niezmiennie miał wrażenie, że próbuje oszukać jakiegoś pomniejszego boga.

Dwa tygodnie później znalazł sposób na obejście zabezpieczeń i w końcu wdarł się do pamięci systemu. Wieść o sukcesie zachował dla siebie. To był dopiero pierwszy krok.




Pracował dalej i co wieczór po powrocie do kabiny rozmyślał nad najlepszym wyjściem z sytuacji. Zasypiał z nadzieją, że kolejny dzień przyniesie rozwiązanie lub zmianę.

Mimo to dał się zaskoczyć.


Rano jak zwykle obudził go ostry dźwięk syreny. Potem jednak, przez ponad godzinę, nie zjawił się żaden strażnik. Niepokój ścisnął mu gardło i załomotał w sercu.

Czyżby zwlekał zbyt długo? Przeciągnął strunę?




Wpatrzony w drzwi, nerwowo wyczekiwał plutonu egzekucyjnego. Nie otwierały się przez kolejne długie minuty.


Może na pokładzie toczy się wewnętrzna bitwa? Inicjatorzy przewrotu zostali powstrzymani? Zatrzymani? Osądzeni?



Nie mógł usiedzieć w miejscu, przemierzał więc ciasną kabinę od ściany do ściany. Czy druga strona wie, że jest więziony? Może o nim zapomniano? A jeśli wyjdzie na kolaboranta, który współpracuje z wojskowym reżimem? Jak to wytłumaczyć?



Jego rozmyślenia przerwał syk otwieranych drzwi. Militarnego, który codziennie przynosił śniadanie, zastąpił inny. Nie wyglądał na wystraszonego i nie unikał kontaktu. Wpatrywał się w więźnia z tępą pustką w oczach. Jakby widział niedawno rzeczy, od których spojrzenia obojętnieją.



To był wyraźny znak, że czas najwyższy zakończyć tę ryzykowną grę. Wiedział, co to oznacza, ale nie chciał nadużywać cierpliwości zleceńodawców. W każdej chwili mogli dojść do wniosku, że pora wybudzić kolejnego informatyka, i jego plan ległby w gruzach.

Przez krótki czas rozważał inną opcję. A gdyby tak nie wykonał zadania? Czy jego poprzednicy nie poradzili sobie z problemem, czy może doszli do wniosku, że lepiej opóźnić projekt i zwodzić zamachowców?

Wreszcie zrozumiał, że znajdują się na małej wyspie czasu pośród oceanu snu; że Militarni będą próbowali do skutku. Wystarczy, że kolejny wybudzony pójdzie na współpracę, i poświęcenie poprzedników będzie daremne. Trudno zakładać, że wszyscy okażą się szlachetnymi ludźmi.

W końcu znalazł rozwiązanie. Wcale nie musiał liczyć na stu dwudziestu pięciu szlachetnych informatyków. Wystarczy, że mu się poszczęści i trafi na jednego.

Odczekał kilka dni, żeby nie wzbudzać podejrzeń, mimo że każdy z nich kosztował go kolejne siwe włosy.

Zjadł śniadanie, a gdy zobaczył strażnika, nie podnosząc się z krzesła, powiedział:

– Przekaż, że skończyłem.

Ponury wojskowy skinął głową i zniknął za zamkniętymi drzwiami.

Po kilkunastu długich minutach zjawiała się eskorta. Dwaj Militarni zaprowadzili go prosto do komory systemu głównego. Przed wjazdem do znajomo wyglądającego sześcianu czekali Generał i obcy mężczyzna w mundurze kapitana. Najwidoczniej karuzela awansów w nowym układzie władzy dopiero się rozkręcała. Obaj przyglądali się w milczeniu jego przygotowaniom. Żaden nie odezwał się słowem, gdy zamknął za sobą wąż służby prowadzącej do wnętrza komory.

Spędził tam cztery nerwowe godziny. Połowę tego czasu poświęcił na kilkukrotne sprawdzenie efektów swojej pracy i zacieranie śladów. Gdy skończył, na zewnątrz nie czekał na niego żaden z oficjeli. Ta sama eskorta odprowadziła go do kabiny.

Długo leżał na wąskim łóżku, wpatrzony w zdjęcie obcej rodziny. Kim był ich bliski? Jak zginął? Czy się poddał? Nie podołał zadaniu? Próbował

Mit założycielski



przechytryć oprawców? A może uznał, że powinien usunąć się z drogi i dać szansę kolejnemu informatykowi?

Jemu?

Czy zasłużył na takie poświęcenie i zaufanie poprzedników? Co będzie, jeśli jego plan zawiedzie? Może kolejny kandydat okazałby się sprytniejszy i potrafiłby znaleźć lepsze rozwiązanie? Nigdy się tego nie dowie, a na odwrót było za późno.

Co prawda pogodził się ze swoim losem, ale jeszcze mógł zagrać oprawcom na nosie. Jeśli nie teraz, to chociaż za sto lat. Na końcu długiej drogi przez pustkę.

W tym celu głęboko pod warstwami kodu ukrył wiadomość. Prawdę. Być może zarzewie buntu. Potem wprowadził do systemu błąd, który aktywuje się po lądowaniu. Szanse powodzenia były niewielkie, ale nie mógł wzgardzić nawet namiastką nadziei. Dla całej reszty, bo siebie zdążył spisać na straty.

Jeśli się uda... Nie obejdzie się bez informatyka. Oby był bystry i miał odwagę.

Kiedy po niego przyszli, był spokojny. Aż do pierwszego wjazdu śluzy powietrznej zachowywał się godnie.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Dawid Wiktorski

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Patrycja Kurczewska, Kinga Grodzka, Kaja Jaroszevska, Agnieszka Kolenda

Weryfikacja: Lidia Gręda, Patrycja Pancierz, Magda Kowalewicz, Anna Twarowska

Kontrola weryfikacji: Anita Brzozowiec

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Aleksander Killman, Tymoteusz Czyż, Agnieszka Chodkiewicz, Anna Sikorska


CÓRY NIEBA

Joanna Kołakowska

W pewnym miasteczku na odległej północy żył sobie dobry cieśla. Nie dość, że był on mistrzem w swoim zawodzie, to i serce miał ze złota. Kolejne już pokolenie bawiło się wykonanymi przez niego zabawkami, które chętnie rozdawał wszystkim dzieciom naokoło. Meble i sprzęty tworzone przez cieślę służyły niezawodnie przez lata, a za najlepszą zapłatę uważał uśmiech zleceniodawcy, a nie jego pieniądze. Rzemieślnika lubiano za to nie tylko w miasteczku, ale i w całej dolinie. Jednak nie dorobił się majątku, mieszkał wciąż w skromnej chatce odziedziczonej po ojcu.

Cieśla ten, na własną zgubę, zakochał się w pięknej córce młynarza. Choć był już posunięty w latach, nigdy wcześniej nie ogarnęło go uczucie równie silne co teraz, i też nigdy wcześniej nie marzył o ożenku. Nie mógł jednak ofiarować jej życia tak dostatniego jak to, do którego przywykła, i starania o rękę dziewczyny zostały odrzucone.

Wkrótce potem w okolicy gruchnęła wieść, że młynarz wydaje jedynaczkę za bogatego kupca z sąsiedniego miasta. Aby zakłócić szczęście i zapewnić młodemu pomyślność, datę ślubu wyznaczono na pierwszy z dni polarnych, gdy Słońce przez całą dobę pozostaje na niebie. Wszyscy ucieszyli się na wiadomość o weselu i oczekiwali go z niecierpliwością. I tylko cieśla zmarkotniał i zaczął się dziwnie zachowywać. Przestał



śpiewać przy pracy, a jego zabawki nie przynosiły już dzieciom takiej radości. Chodził po lesie w poszukiwaniu nienaruszonych pni, opukiwał je dokładnie, osłuchiwał, oglądał. Wreszcie wybrał trzy potężne kłody i przewiózł je do warsztatu. Lecz na co mu one były? Nikt w całej okolicy nie wiedział, co zamierza cieśla. On widocznie miał swoje plany.

W końcu nadszedł pierwszy dzień polarny. Kupiec powiódł córkę młynarza przed ołtarz, a cieśla zamknął się na wiele godzin w warsztacie. Pracował w szalonym tempie przez wiele godzin, w milczeniu. Ciekawskie ucho mogłoby dosłyszeć jedynie dźwięk młotka, co i rusz uderzającego o dłuto.

Goście weselni odkryli owoc tych starań już po zabawie. Przed domem cieśli stała naturalnej wielkości rzeźba kobiety. Miała smukłą talię córki młynarza, jej piękną twarz i warkocz. Podobieństwo było uderzające i nikt nie wiedział, jakim sposobem cieśli udało się stworzyć to doskonałe dzieło w tak krótkim czasie. Jednocześnie wszyscy zrozumieli, skąd brało się jego przynębienie.

Cieśla ogłosił, że posąg jest prezentem ślubnym dla niedosłej narzeczonej. Ta podziękowała mu wylewnie, jednak nie przyjęła daru. Nie przyznałaby tego wprost, ale rzeźba napawała ją strachem – nie tylko ze względu na podobieństwo, które je łączyło. Być może córkę młynarza przerażała własna wżgarda, z jaką potraktowała zakochanego starca, być może uznała podarunek za zbyt hojny. Odeszła do domu świeżo poślubionego męża, a figury nie ruszono z miejsca.

Ludzie, choć wciąż pełni troski o cieślę, uśmiechali się do rzeźby, a co poniektórym zdarzało się nawet podczas przechadzki kiwnąć jej przyjaźnie głową na powitanie. Jednak ona nie odpowiadała na pozdrowienia. Trwała nieporuszona przed domostwem swojego twórcy i nie dostrzegała nikogo.

Przez sześć dni stała tak i patrzyła na Słońce, aż wreszcie siódmego dnia ono spojrzało na nią. Wtedy ciało rzeźby rozgrzało się słonecznym ciepłem, a jej oczy zajaśniały blaskiem promieni.

W tym czasie cieśla rzadko bywał w domu – miał wielu przyjaciół, a żaden z nich nie chciał pozwolić mu na zatopienie się w smutku


i samotności. Również tego dnia gościł u jednego z sąsiadów. Gdy wrócił do siebie, nie zastał przed domem nieruchomej rzeźby, lecz dziewczę tańczące do odległej muzyki. Rozpoznał w niej dzieło swoich rąk i wziął do siebie. I tak Córa Dnia zamieszkała pod jego dachem.

Dawną miłość cieśli przypominała jedynie z wyglądu, chociaż i tu można było dostrzec wyraźne różnice. Jej uśmiech wydawał się słoneczny niczym samo Słońce, policzki – wiecznie rumiane, a usta – najczerwieńsze w całym miasteczku. Kiedy wchodziła do izby, radość wstępowała w serca wszystkich obecnych. Nawet piękna córka młynarza nie mogłaby się z nią równać. Jedno tylko niepokoiło cieślę – dziewczyna nigdy nie sypiała.

Dni płynęły im wesoło, wśród śmiechu i tańca. Cieśla szybko zapomniał przy niej o swoich zgrzyotach, mało tego, zapomniał nawet o pracy. Jedynym, co go zajmowało, była ożywiona rzeźba – tylko jej poświęcał czas. Cieszyła się zresztą sympatią całego miasteczka i powszechnie uważano, że obecne szczęście cieśli jest zesłaną z nieba zapłatą za jego dobre życie.

Radość trwała jednak krótko. Po niedługim czasie nad miasto powróciła noc. Z początku przypominała bardziej cień rzucony na dolinę, później stawała się coraz dłuższa i ciemniejsza. Dziewczyna zaczęła wtedy częściej przypatrywać się płomykom świec, a później także palenisku. Doszło do tego, że siadała na podłodze przy kominku, byle tylko przybliżyć się do ognia. Cieśla zrozumiał, że tęskni ona za Słońcem i choć prosił ją, by była ostrożna, pozwalał jej na te chwile zapomnienia.

Wreszcie nadeszła noc polarna i ciemności skryły miasto. Gdy cieśla kładł się spać, dziewczyna siedziała przed paleniskiem wpatrzona w płomienie. Jak co wieczór zapytał ją, czy nie zechce zażyć snu, lecz odmówiła, nawet nie odwróciwszy wzroku od ognia. Cieśla wkrótce usnął, a kiedy obudził się kilka godzin później, nie zastał jej w izbie. Pytał o nią wszystkich, ale nikt nie widział, aby ktokolwiek wychodził z jego domu. W świat poszła plotka, że dziewczyna weszła do pieca, by szukać jasności, która powołała ją do życia. Nigdy więcej o niej nie usłyszano.



Wtedy cieśla znów zamknął się w warsztacie, znów dobiegały stamtąd jedynie odgłosy uderzenia młotka o dłuto, znów pracował szybko i bez ustanku.

Po wielu godzinach wyniósł swoje dzieło na zewnątrz i ustawił je przed domem. Była to kolejna rzeźba stworzona na podobieństwo córki młynarza, niemal identyczna z poprzednią.

Ludzie mijali dom cieśli, patrzyli na drewnianą figurę i kręcili głowami ze smutkiem lub wzdychali w zadumie. Ale ona nie odpowiadała na ich wzdychania, trwała nieporuszona i nie dostrzegała nikogo.

Przez sześć nocy stała tak i patrzyła w Księżyc, aż wreszcie siódmego dnia Księżyc spojrział na nią. Wtedy zimny wiatr wypełnił płuca rzeźby, a jej oczy rozbłysły niczym dwie gwiazdy.

Kiedy cieśla wyszedł rankiem przed dom, nie odnalazł tam posągu, ale dziewczynę siedzącą na stopniach chaty i wpatrującą się z uwagą w zorzę polarną. Ucieszył się na jej widok i wziął do siebie. I tak Córa Nocy zamieszkała pod jego dachem.

Nie śmiała się tyle, co pierwsza dziewczyna, nie miała też jej rumianych policzków ani gorących ust. Jednak dostojna błądź i bystre spojrzenie wynagradzały te braki. Poza tym każdemu umiała doradzić, a tam, gdzie się pojawiła, ustawały wszelkie waśnie.

Żyli razem w błogim spokoju. Żadna troska nie niepokoila ich serc. Cieśla zapomniał o zaginionej dziewczynie; zresztą ta, z którą mieszkał teraz, nie interesowała się ogniem, a wręcz go unikała. Nic więc nie zwiastowało, by miała podzielić los poprzedniczki. Gdy skończyły się polarne noce i słoneczny blask znów rozlał się po dolinie, stała się jakby niecierpliwa; nigdzie nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, dopóki noc nie wyparła dnia. Nie dziwiło to jednak nikogo – przecież dziewczyna nigdy wcześniej nie widziała dnia, blask promieni mógł ją peszyć.

Przyszedł w końcu dzień polarny i Słońce na dobre zagościło na niebie. Gdy wieczorem mimo wszechobecnej jasności cieśla szykował się do snu, jak zawsze zapytał dziewczynę, czy i ona nie zechciałaby choć na chwilę zmrzyć powiek. Odpowiedziała mu jedynie niecierpliwym machnięciem ręki. Poszedł spać, a kiedy rankiem otworzył oczy, jej już nie było w izbie.

Natychmiast rozpoczął poszukiwania, pytał o nią wszystkich. Znalazł się ktoś, kto widział, jak biegła przez pola w stronę gór. Niektórzy uważali, że ruszyła na południe, w poszukiwaniu nocy, która ją zrodziła. Nigdy więcej o niej nie usłyszano.

Cieśla po raz trzeci zamknął się w warsztacie i pochylił się nad trzecim pniem. Po raz trzeci pracował bezustannie przez wiele godzin, po raz trzeci w okolicy rozbrzmiewały szybkie uderzenia młotka o dłuto. I po raz trzeci powstał posąg uformowany na kształt córki młynarza.

Tym razem cieśla nie wystawił rzeźby przed dom. Umieścił ją w chacie, w kącie między łóżkiem a kominem. Mijały kolejne dni i noce polarne, ale on nie powrócił już do warsztatu. Dzieci, które kiedyś bawiły się jego zabawkami, zdążyły dorosnąć i same zostały rodzicami. Także bogaty kupiec i jego żona doczekali się całej gromadki rumianych, wiecznie uśmiechniętych dzieciak.

A rzeźba? Stoi wciąż niewzruszona w kącie i cieszy oczy samotnego starca. Jedynie czasami zwraca spojrzenie w stronę okna, w poszukiwaniu nieba, którego nigdy nie było jej dane ujrzeć.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Paulina Grzybowska

Weryfikacja przyredakcyjna: Anita Brzozowiec

Korekta: Kinga Grodzka, Marysia Bernaciak, Ilona Skrzypczak-Żurawska

Weryfikacja: Ilona Skrzypczak-Żurawska, Patrycja Pancierz, Mariusz Flejszar, Marcelina Kopaczka

Kontrola weryfikacji: Damian Szandecki

Kontrola przed składem: Magda Kowalewicz

Recenzje: Bartosz Batkiewicz, Magdalena Piniak, Aleksander Killman, Anna Sikorska, Tymoteusz Czyż

NA ŁAWCE

Łukasz Wojtylak

Na ławce w parku siedziały dwie staruszki, zwijając wełnę. Ich dłonie poruszały się w zgodnym rytmie, z wyczuciem, jakby całe życie nie robiły nic innego. Obok, w koszyku, spoczywały różnokolorowe kłęбки, porzebijane drutami, co wyglądało tak, jakby czyjaś głęboka niechęć do owcy znalazła ujście w praktykach voodoo. Naprzeciw ławki, za klombem z begoniami, wzdłuż płotu graniczącej z parkiem posesji, biegł świeży wykop. Półnagi mężczyzna w wykopie raz po raz wznosił kilof i uderzał nim w ziemię. Ramiona lśniły mu od potu, a każdemu uderzeniu towarzyszyło zduszone sapnięcie. Staruszki zerkały nań od czasu do czasu, tak jak się patrzy na przejeżdżające samochody.

– No i gdzie ona jest? – mruknęła w pewnym momencie ta, która podawała włóczkę.

– Cierpliwości, skarbie – odparła druga, nie przerywając nawijania. – Myślę, że zaraz przyjdzie.


– Złości mnie, że zawsze się zjawia na ostatnią chwilę.

– Pewnie ma jakieś własne sprawy.

– Własne sprawy, własne sprawy. Jakie ona może mieć sprawy? Co ona w ogóle robi, kiedy nie jest z nami?

– Trzymaj te ręce prosto, bo mi się zawęzli. Zapytaj ją, może powie.

– Wyobraź sobie, że mnie to nie interesuje.



Westchnęły głęboko, jedna po drugiej. Przez jakiś czas słychać było tylko powolny rytm uderzeń kilofa.

– Wracając do Leona... – Nawijająca podrapała się wierzchem dłoni w podbródek. – Jak on w ogóle mógł zrobić coś tak idiotycznego?

Zmiana tematu podziałała.

– Och, sama wiesz, jaki on był niefrasobliwy. I to od dziecka. Jako pięciolatek jeździł na rowerku po antresoli. Tyłem. Nie zapomnę wyrazu zaskoczenia na jego twarzy, jeszcze zanim uderzył w ryk.

– Miał wtedy szczęście, że złamał tylko rączkę.

– Ale niczego go to nie nauczyło. Zresztą późniejsze zdarzenia też nie.

– Święta prawda. Pamiętasz wypadek z tosterem?

– I z drabiną, i z drzwiami od garażu...

Starszki uśmiechnęły się do swoich myśli.

– Można powiedzieć, że pech prześladował go przez całe życie.

– Tyle że Leon wciąż temu pechowi pomagał. Tak jak wtedy, kiedy źle założył podnośnik i samochód zsunął mu się na stopę.

– „Nikt nie czyta instrukcji”, mówił później.

– Mhm, typowe. A to było przed tym czy po tym, jak wbił sobie w nogę sprężynę od aparatu do ćwiczeń?

– Zaraz po. W szpitalu śmiali się, że powinni trzymać dla niego zarezerwowane łóżko.

Znów westchnęły.

– Jak ktoś taki, całkiem przecież rozgarnięty, może wyczyniać podobne głupoty? Rozumiesz to? Bo ja nie.

– Cóż, Leon zawsze skupiał się na istocie tego, co jest do zrobienia, i nie zwracał sobie głowy drobiazgami. Instrukcje, przygotowania, zabezpieczenia...

– Plany instalacji elektrycznych...

Pokiwały głowami w zadumie.

Kilof w rękach mężczyzny unosił się i opadał. Z dna wykopu wylatywały grudy ziemi, prosto w begonie. Deszcz pecyn raz po raz płoszył buszujące nad klombem owady.

– Długo jeszcze będziemy na nią czekać? – westchnęła zwijająca, odpędzając motkiem zdeorientowaną osę.

– Ależ ty jesteś niecierpliwa, skarbie. – Jej towarzyszka pokręciła głową. – Myślałby kto, po tych wszystkich latach... Zresztą chyba właśnie idzie.

– Rychło w czas.

Alejką zbliżała się trzecia staruszka. Szła niespiesznie, postukując laską. Przez ramię miała przewieszoną płócienną torbę. W zadumie przyglądała się mijanym drzewom. Długo trwało, zanim dotarła do ławki.

– Spóźniłaś się.

– Ja się nigdy nie spóźniam – odparła z powagą, sięgając do torby.

Włóczka napięta się w uniesionych rękach. Szczęknięty nożyczki.

Ułamek sekundy wcześniej opadający kilof przebił kabel wysokiego napięcia.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Dagmara Michalak

Kontrola redakcji: Michał Gola

Korekta: Urszula Jaskólska, Kaja Jaroszevska, Matylda Zatorska

Weryfikacja: Patrycja Pancierz, Iga Kosiarska-Lewin, Magda Kowalewicz

Kontrola weryfikacji: Dawid Wiktorski

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Tymoteusz Czyż, Magda Kowalewicz, Martyna Kurowska, Anna Sikorska, Michalina Reda

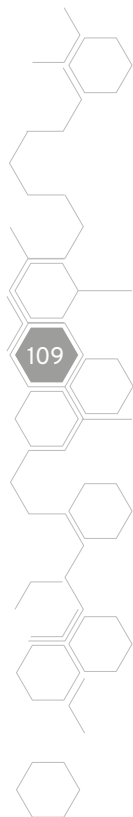
NIEBIESKI FLAMING GRAJĄCY NA BONGOSACH


Michał Brzozowski

Szum wiatru był zagłuszany przez koncert okolicznego ptactwa. Narcystyczne słońce odbijało swą dumną twarz w jeziorze, po którym leniwie sunęły kaczki. Wziąłem głęboki oddech, łapczywie wdychając wiosenne powietrze. Tętniący życiem park wyglądał jak z pocztówki. Jakby sama Matka Natura sprawowała nad nim pieczę. Widok psuł tylko nieudolnie schowany w krzakach zboczeniec, który bacznie mi się przyglądał.

Jak zwykle próbowałem go zignorować, skupić się na czymś innym. W końcu nic mi nie zrobił, tylko siedział i patrzył. Wystarczyło nie zwracać na niego uwagi – może mu się znudzi i sobie pójdzie. Krzaki lekko się poruszyły. Odwróciłem głowę, próbowałem patrzeć w przeciwnym kierunku, kątem oka obserwując zboczeńca. Tyle że w takim położeniu światło strasznie biło po oczach. Narcystyczne słońce puszczało zajączki. Niby mógłbym przenieść się na ławkę obok, ale zwyczajnie mi się nie chciało. Właściwie to dlaczego ja mam się ruszyć, a nie słońce? niesprawiedliwe. Gdybym potrafił, szturchnąłbym wredną gwiazdę, ale cholera jest za daleko. Choć czasami odnoszę wrażenie, że potrafiłbym to zrobić.

Mój psychol, to znaczy mój psychiatra, nigdy mi nie wierzył. Wszyscy tacy są. Najpierw udają, że słuchają, a po seansie idą do baru obgadywać





pacjentów. Co poradzę? Od dziecka wydaje mi się, że świat jest z modeliny. Mogę kształtować rzeczywistość za pomocą myśli. Prawdę mówiąc, wiem, że mogę, ale jeszcze nie umiem. Postaram się to ująć bardziej elokwentnie. Posiadam dar, którego nie potrafię wykorzystać. Jestem dumnym właścicielem skarbu zamkniętego w skrzyni, do której nadal szukam klucza. Cóż, nie wyszło zbyt elokwentnie.

Nawet stworzyłem na ten temat własną teorię. Przyczyną porażek są wrodzone lenistwo i problemy z koncentracją. Medytacja zawsze mnie nużyła. Nie potrafię się skupić na jednym problemie, łatwo się rozpraszam. Neurony błędzą losowo jak banda pijaków. Nie można w takich warunkach wytworzyć stabilnego pola psi. W końcu modelinę też trzeba ogrzać przed lepieniem ludzików. Z parapsychologii nici, jeśli nie nauczę się ogniskować myśli.

Zdaniem psychologa wszystko sobie ubzdurałem. Na ostatniej sesji przekonywał, że świat jest wystarczająco piękny i nie ma potrzeby bawić się w poszukiwanie zjawisk paranormalnych. Zapytałem go, czy w tym cudownym świecie mogę pójść na koncert niebieskiego flaminga grającego na bongosach. Przyznał, że to niemożliwe. Zrozumiałbym, gdyby wyprzedali wszystkie bilety, ale okazało się, że w tym chorym uniwersum flamingi nie potrafią grać na kubańskich bębnach. Nawet nie mają niebieskich piór. Jakiś absurd.

Trochę przynudzam, wiem. Wróćmy do tematu parku i zбочeńca w krzakach. Zatem siedziałem w parku i uświadomiłem sobie, jaki ze mnie idiota. Przecież gdyby nawet udało mi się przesunąć słońce siłą woli, dowiedziałbym się o tym najwcześniej po ośmiu minutach. A może nawet szesnastu. Nie chciałem tyle czekać, więc dałem za wygraną i przesiadłem się na sąsiednią ławeczkę. Dewiant też się poruszył. Fascynujące – psychol faszeruje mnie lekami, a mimo to od kilku dni mam objawy manii prześladowczej. Mój stalker najwyraźniej skończył korespondencyjny kurs szpiegostwa incognito, a cały kamuflaż kupił w sklepie „Wszystko za pięć złotych”. Wielkie okulary, kulfonowaty nos i te wąsy. Prawdziwy szpieg nie pozwoliłby sobie na taką amatorszczyznę. W tym jednym psychol miał rację – to zwykłe złudzenie. W parku byliśmy tylko ja i kaczk.

Zrobiło się zimno, więc postanowiłem wrócić do domu. Podnosiłem się z ławki, gdy zboczeniec wylazł z krzaków. Najpewniej planował mnie śledzić przez całą drogę. Naprawdę nie nadawał się na tajnego agenta, nie z taką sylwetką. Przypominał bałwanka. Ciekawe, czy gdyby przewrócić go na plecy, umiałby podnieść się o własnych siłach, czy może szamotałby się bezradnie, jak żuczek.

– Dzień dobry – powiedział niespodziewanie.

– Nie gadam z omamami – odparłem, nieco zaskoczony tym, jakie figle płała mi wyobraźnia.

Omam uśmiechnął się obleśnie pod wąsem. Zauważyłem, że trzyma w dłoni białą chusteczkę, pewnie równie urojoną jak on sam. Wzruszyłem ramionami, gdy iluzoryczny dewiant podszedł bliżej. Zignorowałem, gdy przystawił mi chusteczkę do twarzy, ale kiedy poczułem mdłą woń, puściły mi nerwy i postanowiłem skopać zbokowi jego nieistniejący tyłek. Traf chciał, że akurat wtedy straciłem przytomność.


Mama zawsze powtarzała, żebym nie ufał psychiatrom. Co prawda mówiła też, żebym trzymał się z dala od prawników, urzędników, stomatologów, astrologów, dziennikarzy i bednarzy. Tymczasem nie miałem kontaktu tylko z tymi ostatnimi.

Trzeba było słuchać mamusi. Psychol nałgał mi jakichś bzdur o manii prześladowczej i nie miałem szans się obronić. Ciekawe, czy w jego uczonych, psycholskich książkach jest coś o zadziwiająco skutecznym działaniu urojonych środków nasennych.

Wszystko było jakieś zamglone, niewyraźne. Siedziałem na krześle, nie mogąc ruszyć rękami. Musieli mnie związać. Ale kto? Może to prawda, że pod cienką warstwą codzienności skrywa się gigantyczny międzynarodowy spisak. Może nawet międzygalaktyczny. Nie zdziwiłbym się,

Niebieski flaming grający na bongosach





gdyby ich parszywe macki sięgały aż do wszechświatów równoległych. Nie przeczę, że zostanie porwanym przez takie szychy stanowiło swego rodzaju nobilitację. Tylko czego oni mogli ode mnie chcieć?

Przedemną stał jakiś zielony prostokąt. Chyba tablica. Wzrok nadal odmawiał posłuszeństwa. Przyjrzałem się uważniej i zobaczyłem wyrysowany na niej rozmyty, biały kształt. To był trójkąt. Zaraz, więc wujek miał rację. Za sznurki pociągają Illuminaci!

Zmrużyłem oczy. Obraz zrobił się odrobinę wyraźniejszy. Był i drugi trójkąt, odwrócony. Chwileczkę, to gwiazda. Co może oznaczać sześcioramienna gwiazda? Czym symbolem jest heksagram i kto zawsze miał pociąg do władzy? No jasne, babcia mówiła prawdę. Jakie to oczywiste. Za wszystkim stoją szeryfowie z Dzikiego Zachodu!

Problem w tym, że trójkątów było więcej, znacznie więcej. Obrazek wyglądał niczym kubistyczny płatek śniegu, spotkałem już gdzieś podobny kształt. Pamiętam go... Ale to niemożliwe, to absurd. To by znaczyło, że światem rządzą...

– Jesteśmy matematykami!

Obok tablicy stało dwóch mężczyzn.

– Profesor Borkowski – powiedział wysoki brunet w niebieskiej, pogniecionej koszuli. – Interesuję się fizyką matematyczną i kosmologią.

– Profesor Wencel – przedstawił się pulchny człowieczek w okularach. Nadal nosił przebranie, więc poznałem go bez problemu. To był ten zboczeniec z parku. – Specjalizuję się w logice rozmytej, algorytmach ewolucyjnych, sieciach neuronowych...

– ...oraz ukrywaniu się w krzakach, porywaniu Bogu ducha winnych ludzi i noszeniu kretyńskich masek – dokończyłem.

– Do dwóch pierwszych zarzutów się przyznaję. Ale o jakie maski chodzi? – spytał matematyk. Zdjął okulary, ale jego ogromny nos, ku mojemu zdziwieniu, pozostał na miejscu.

Poczułem się trochę głupio. Nie chciałem sprawiać nikomu przykrości. Niby mnie odurzili, porwali i związali, lecz jakoś nie miałem im tego za złe. Od kiedy psychol przepisał mi Zoloft, starałem się dostrzegać jasne strony nawet najbardziej beznadziejnych sytuacji. Co złego zrobią mi

matematycy? Najwyżej scałkują. Inna sprawa, gdybym trafił na biologów. Aż strach pomyśleć. Na szczęście tajemniczy obrazek przedstawiał płatek Kocha, a nie prątek Kocha. Mogłem odetchnąć z ulgą.

Moje zmysły powróciły już do normalnego stanu, więc rozejrzałem się po pomieszczeniu. To była jakaś sala lekcyjna. W kącie leżała sterta matematycznych brył z tektury. Kolekcja składała się z czworościanów, sześciąt i wielkiej szarej kuli.

– Nie chcę być nieuprzejmy, ale dlaczego mnie tu trzymacie? – spytałem.

– Cóż, to dosyć proste – odezwał się Borkowski. – Wszystko zapisałem na tej tablicy.

Poza fraktalem, który na początku zwrócił moją uwagę, tablicę zajmowała džungla całek, greki i innych śmiesznych znaczków, z którymi nigdy nie byłem za pan brat. Poza tym nagminnie przewijało się tam słowo „trywialny”. Nic z tego nie rozumiałem. Nagle poczułem dreszcze. Na tablicy widniało też moje nazwisko!

– Pan Sebastian Dolniak? – usłyszałem głos Wencła.

– Tak, ale możecie mi mówić Seba.

– Trzydziestoletni kawaler?

– Tak, ale...

– Zamieszkały przy ulicy Zielonej siedemnaście?

– Owszem, tylko...

– Przeciętnie uzdolniony księgowy?

– Oj, tam zaraz przeciętnie...

– Tak czy nie?


– Niech wam będzie. Ale co ja tu właściwie robię?

– Borkowski, wyjaśnij mu. Ja nie mam siły tłumaczyć takich trywialności.

Profesor Borkowski odchrząknął, jakby szykował się do wykładu. Od razu poczułem narastającą senność.

– Na tej tablicy znajduje się szkic dowodu twierdzenia, które wstrząśnie światem tak, jak w latach trzydziestych zrobiło to twierdzenie Gödla. Razem z szanownym kolegą Wencłem badamy związki między

Niebieski flaming grający na bongosach



matematyką a filozofią. Wychodząc z zasady antropicznej, staraliśmy się odpowiedzieć na słynne leibnizjańskie pytanie: dlaczego istnieje raczej coś niż nic?

– Nie macie większych problemów? – Ziewnąłem kompletnie znudzony.

– Proszę nie ziewać!

– To mnie zakneblujcie! Do rzeczy!

– Może ja dokończę – zaproponował Wencel. – Wspólnie z szanownym kolegą Borkowskim chcieliśmy stworzyć spójny model wszechświata, usuwający wszelkie osobliwości i anomalie. Jesteśmy już bardzo blisko sukcesu, pojawił się tylko pewien drobny problem. Układając puzzle przyrody, znaleźliśmy niepasujący element. Jakby z innego pudełka. Coś, co istnieje, a nie powinno.

– Pewnie dziobaki – zasugerowałem. – Kto to widział, żeby ssaki składały jaja. To chore.

– Nie, nie dziobaki.

– A może żyroskopy? – spróbowałem ponownie. – Jak takie urządzenie działa? Cuda na kiju.

– Nie chodzi ani o dziobaki, ani tym bardziej żyroskopy. Niepasującym elementem, psującym naszą przełomową teorię, jest człowiek.

– Jakie to głębokie – zauważyłem. – Wychodząc z zasady antropicznej, wywnioskowaliście, że ludzie tak naprawdę nie istnieją.

– Nie, durniu! – Wencel zmierzył mnie wzrokiem. – Niepasującym elementem nie są ludzie, tylko człowiek. A konkretnie niejaki Sebastian Dolniak, trzydziestoletni kawaler, przeciętnie uzdolniony księgowy, zamieszkały przy ulicy Zielonej!

– Że niby ja? Ale przecież ja istnieję! – krzyknąłem. Dla pewności sprawdziłem jeszcze, czy nic się w tej materii nie zmieniło. Ale nie, istniałem nadal.

– I właśnie w tym problem. Mógłby pan łaskawie przestać?

– Nie za bardzo – odpowiedziałem. – Może macie jakiś błąd w obliczeniach. Dzielenie przez zero czy coś w ten deseń.

- Niewykluczone – stwierdził logik. – Pełna wersja dowodu ma koło stu stron. Nadal go weryfikujemy. Nie wiem, czy pan zauważył, ale przez ostatni tydzień śledziłem każdy pana krok...

- Nie dało się ukryć.

- Tak? – Wencel trochę się zdziwił. – Szukałem informacji, jakichś wskazówek. Chciałem znaleźć inny sposób na rozwiązanie problemu.

- Inny? To już jakiś macie?

- Tak, profesor Borkowski ma świetny pomysł. Przyznam, że na początku byłem przeciwny. Pan rozumie, jako teoretyk nie przepadam za środkami typu brute force. Wolę poszukiwanie metod z Księgi, najpiękniejszych, najbardziej subtelnych...

- Ale nuda – stwierdziłem nieuprzejmie. – Rozwiążcie sprawę i dajcie mi spokój.

- Mogę? Rozumiesz, dla dobra nauki. Bez tego nie dostaniemy grantu – rzucił profesor Borkowski.

Wencel kiwnął głową.

Borkowski stanął naprzeciwko mnie i wyciągnął z lewej kieszeni wskaźnik laserowy. Pomyślałem, że czeka mnie kolejny przydługi wykład. Mogliby chociaż podać kawę.

- Przepraszam. – Borkowski plasnął się w czoło. – Gapa ze mnie. Nie ta kieszeń.


Potem wyjął pistolet i strzelił mi prosto w łeb.

Też myślicie, że to doskonały moment na szczytę retardacji? Choć może bardziej pasowałoby tu określenie *bullet time*. Spokojnie, przecież wiadomo, że nic mi się nie stanie. W końcu chroni mnie immunitet narracji pierwszoosobowej.

Podobno w takich chwilach przed oczami przelatuje nam całe życie. Teoria co najmniej idiotyczna. Po obejrzeniu kilkudziesięciu lat skompresowanych do kilku sekund czułbym się jak po przejeździe rollercoasterem. Może zdążyłbym jeszcze przed śmiercią puścić

Niebieski flaming grający na bongosach





worzystego pawia. Nie chciałbym być tak zapamiętany przez potomnych.

Bardziej skłaniałbym się ku innej teorii. Zamiast całego życiorysu widzimy jedno wybrane wspomnienie. Ulubioną chwilę, z którą pragnęlibyśmy zostać pochowani. Wyrzebujemy z pamięci ostatniego towarzysza.

U mnie trafiło na żonkila. Miałem pięć lat, kiedy go znalazłem. Piękny, żółty kwiat kłaniał mi się nisko niczym skruszony Japończyk. Niesamowite, najbardziej narcystyczna z roślin składała mi hołd. Przynajmniej tak to wyglądało. Moje ulubione wspomnienie. Czy świat musi być z modeliny, abym mógł go pokochać? Może najwyższy czas dostrzec piękno w twardych koralikach atomów. Zupełnie zapomniałem o szalonych matematykach i lecącym pocisku. W tej chwili istniał tylko uroczy żonkil. Zogniskowałem myśli. Pistolet okazał się soczewką, której szukałem przez całe życie.



116

Nabój leciał podejrzanie wolno, jakby krygował się przekroczyć granicę mojej przestrzeni osobistej. Przyspieszył i stał się nieco śmielszy po przemianie w żółtą maź przypominającą zawartość lampy lava. Gdy uderzył mnie w czoło, był już dojrzałym, pewnym siebie narcyzem. Świat z modeliny... Więc jednak nie byłem szalony.

Matematycy wyglądali na kompletnie zdezorientowanych.

– Borkowski, gdzie ty kupiłeś ten pistolet?! – wydarł się Wencel.

– Iwan załatwił broń. Ten mój doktorant z Petersburga, mówiłem ci.

Z bronią wszystko jest w porządku. Nic z tego nie rozumiem, jakby nabój zmienił się w tego... kaczeńca.

– To żonkil, idioto! – wtrąciłem się. – Co się stało? Czyżby wasze śmieszne równanka tego nie przewidziały?

Naukowcy spojrzeli po sobie, a potem rzucili się do tablicy. W amoku przeglądali notatki, próbując znaleźć wytłumaczenie. Próbowali wcisnąć gdzieś niepasujący kwiatek, który istniał, choć nie



Michał Brzozowski

powinien. Jakby w świetle odkrytych równań świat okazał się wielkim kożuchem.

Postanowiłem jeszcze bardziej popsuć ich idiotyczną teorię. Skrzynia została otwarta. Nikt już we mnie nie celował, więc lepienie nie szło za dobrze, ale wiedziałem, że dam radę. W skupieniu patrzyłem na linę, którą zostałem związany. Wystarczyło się wyciszyć, nie słuchać otoczenia. Sznur zaczął bulgotać i po chwili przekształcił się w zieloną serpentynę. Cudnie.

Profesorowie niczego nie zauważyli. Nadal bazgrali po tablicy i szukali błędu. Namiętnie gestykując, głądzili o tych swoich lematach, twierdzeniach oraz innych dziwactwach. Ale nie rozpraszało mnie to – jakbym słyszał rozmowę w nieznanym języku. Jeśli nawet uda im się uwzględnić żonkila w obliczeniach, przygotowałem więcej osobliwości.

Ulepienie krzesłom po piątej nodze okazało się bajecznie proste, czy, jak kto woli, trywialne. Pięcionogie krzesła. To ci anomalia. Zdecydowanie ambitniejszym zadaniem było przekształcenie tekturowej kuli w żyroskop. Misja zakończyła się porażką. Nie dlatego, że nie mogłem się skupić, tylko dlatego, że nie mam pojęcia, jak działają żyroskopy. Nikt tego nie wie. Obniżyłem więc poprzeczkę i wyrzeźbiłem wielki szary kamień. Zabawne, spróbowałem podnieść go siłą woli, ale okazał się dla mnie za ciężki. Następnie stworzyłem butelkę z papierowego sześcianu. Wysła trochę kanciasta. Chciałem uformować olbrzymiego shurikena z płątka Kocha, ale zdążyli już go niestety zmasać. Co by tu jeszcze wymyślić... Ciekawe, jak lepi się w żywej tkance...

Nagle spostrzegłem, że matematycy mówią już ludzkim językiem. Chyba znaleźli lukę.

– Wencel, ty skończony kretynie! – ryknął Borkowski. – Jak mogłeś machnąć się w lemacie Fatou!

– Spokojnie – odpowiedział logik. – Sprawdziałem to tysiąc razy, ale wiesz, jak jest. Każdy może się pomylić. Dowód z pewnością można jeszcze naprawić.

Twarz Borkowskiego przybrała kolor kredy. Zauważyłem, że drżę mu ręce.

Niebieski flaming grający na bongosach



– Tak, można go naprawić. – Profesor przelknął ślinę i narysował na tablicy niewielką gwiazdkę. Tuż przy moim nazwisku. – Znam tylko jedno wytłumaczenie. Pomyliliśmy znaki. Wszystko na odwrót. Sebastian Dolniak istnieje. To cała reszta jest urojeniem.

– Co? – spytał z niedowierzaniem Wencel. A potem poczuł, jak pęcznieje mu głowa.

– My też – dodał Borkowski. – Moja szyja...

Wybaczyłbym herezję, idolatrię czy inne głupstewka, ale próba odstrzelenia Demiurgowi głowy to jednak lekka przesada. Matematycy byli wyjątkowymi pechowcami. Bo, wiecie, nigdy nie miałem talentu plastycznego, a w szkole najlepiej wychodziły mi karykatury.

– I co pan powie o koncercie? Podobało się panu? – spytałem.

Psychol sprawiał wrażenie odurzonego. Trochę mnie rozczarował. Jak można wybrać się do filharmonii bez marynarki?

– To nie powinno...

– Tak, wiem. Psychiatra nie powinien spoufalać się z pacjentami. Ale co pan powie o muzyce?

– Po co pan mi to pokazał? – Psychol spojrział na mnie nieobecny wzrokiem. Zauważyłem, że bez przerwy szczypie się po rękach. – To sen, prawda?

– Możliwe. To jedna z teorii – odparłem rzeczowo.

– W takim razie dlaczego nie mogę się obudzić?

Wybuchnąłem śmiechem.

– A kto powiedział, że to pański sen? Czyżby mój psychiatra miał urojenia ksbone? Jeśli to naprawdę jest sen, to raczej mój. Ale rozważyłem też inne opcje. Może mamy do czynienia z symulacją, wirtualną rzeczywistością, a może spiskiem szeryfów z Dzikiego Zachodu. Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby. Tak czy siak, nie zamierzam się obudzić. Ale na pocieszenie mogę panu ulepić trzecie oko. Do zagłądania w podświadomość. Przyda się psychiatrze. Chce pan?

– Jeśli to prawda... Jeśli, oczywiście czysto hipotetycznie, świat jest z modeliny, to dlaczego traci pan czas na przekonywanie mnie? Skoro może pan wszystko, to...

– Bo chcę, żeby pan to powiedział.

– Co?

– Że nie jestem szalony! Po to zaprosiłem pana na koncert! Przecież widział pan flaminga, słyszał bongosy. Własnoręcznie je ulepiłem. Z modeliny świata – powiedziałem trochę zbyt patetycznym tonem.

– Widziałem – przyznał niechętnie psychol. – Koncert? Przecież to był jakiś chory freak show! Flaming miał guziki, a mniejszy z bębnow obłeńskie wąsy. Nawet nie myślę, skąd pan wziął tę swoją modelinę.

– Powiedz to w końcu, psycholu!

Powoli zaczynałem tracić cierpliwość. Nie chciałem majstrować przy jego strunach głosowych. Wołałem poczekać, aż powie to z własnej woli.

– Jest pan szalony – stwierdził stanowczo, składając dłonie w diamencik. Poczuję się jak na sesji terapeutycznej. – Obaj jesteśmy obłąkani. To najrozsądniejsze wytłumaczenie. Niech pan zrozumie. Nie uwierzę w niebieskie flamingi i modelinowy świat. Prędzej przestanę ufać własnym zmysłom. Jestem racjonalistą i bez ścisłego dowodu...

– Dowodu?

Uśmiechnąłem się i poprawiłem żonkila w butonierce.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Michał Pięta

Korekta: Kinga Grodzka, Aleksandra Buczyńska, Maciej Sznurkowski

Weryfikacja: Ilona Skrzypczak-Żurawska, Michał Gola, Joanna Gasińska, Mariusz Flejszar

Kontrola weryfikacji: Damian Szandecki

Kontrola przed składem: Magda Kowalewicz

NOCNY SKOWRONEK

Aleksandra Klęczar

Charon mocno się zdziwił, kiedy wśród tłumu oczekujących w kolejce dusz zobaczył skowronka.

Przywykł już, że duże zwierzęta – konie, psy, woły – zabierały się na jego barkę, kiedy przyszła na nie pora, albo brodziły krok w krok za nią przez zimne wody Acherontu. Ptaków jednak dotąd nie widywał: nawet w postaci dusz umiały latać, co sprawiało, że przeprawa łodzią przez rzekę zdawała się z ich punktu widzenia raczej zbędna.

Tyle że ten ptak nawet nie był duszą. Ani duchem. Nic z tych rzeczy: był to po prostu, jak ocenił przewoźnik, najzwyczajniejszy w świecie skowronek, szary, mały – no, może poza zaskakującym, zawadiackim czubkiem na głowie. Charon średnio, co prawda, znał się na ptakach, no ale kto by nie rozpoznał skowronka?


– Przepra-a-aszam, którędy do pałacu? – zaśpiewał ptak.

Przewoźnik zmarłych natychmiast zweryfikował opinię o tym, że ptaszyna jest z tych najzwyczajszych w świecie. O ile pamiętał, ptaki na co dzień nie mówiły ludzkim głosem.

– Przepraszam! – powtórzył skowronek równie słodko, acz z wyraźną nutą zniecierpliwienia. – Do pałacu-u-u?

– Przez rzekę, potem przez siedem odnóg Styksu, a potem lekko w lewo nad wybiegiem dla psa. Łatwo poznasz bestię, ma trzy głowy





i szczeka bez przerwy. Miniesz stanowisko sędziów, to tam, gdzie największa kolejka, potem skręcisz w prawo i już zobaczysz pałac. Tylko po cholere! ja ci to mówię? I tak tam przecież nie doleczysz – wyburczał przewoźnik.

– Ale jak nie? – spytał śpiewnie skowronek.

Charon zaczynał mieć poczucie, że w barwie jego głosu jest coś ludzkiego. Tak, zdecydowanie ludzkiego, i chyba... kobiecego?

– Zaświaty są dla umarłych. Nieżywych. Dusz, znaczy. A ty mi wyglądasz na bardzo żywego.

– Żywą – skorygował ptaszek.

Najwyraźniej przecucie nie zawiodło przewoźnika.

– A, to przepraszam – mruknął i poprawił na ramieniu szatę, która trzymała się w kupie wyłącznie dzięki spajającym zetlałe nici odwiecznym pokładom brudu. – Ale to nic nie zmienia, droga pani. Żywa osoba kondycji dowolnej, ptak czy człowiek, on czy ona, ktokolwiek inny, nie ma miejsca w tym królestwie.

– No, ale Herakles... – pisała ptak nieśmiało.

– Jakoś mi nie wyglądasz na Heraklesa – zawyrokował Charon. – Masz dość sił, żeby pokonać potwory?

Skowronek nastroszył piórka i opuścił głowę. Charon już miał powiedzieć ptaszynie, żeby zmykała z powrotem do świata żywych, zanim do szczętu przesiąknie zaświatową melancholią, kiedy nagle skowronek potrząsnął łepkiem i zaśpiewał triumfalnie:

– A Orfeusz?

– Jakoś mi nie wyglądasz... – zaczął Charon i urwał.

Na kogoś, kto podziemne monstra i surowego władcę zaświatów zdoła ułagodzić śpiewem, skowronek wyglądał jak najbardziej.

– No dobra – zdecydował stary przewoźnik. – Wskakuj. Nie masz obola, więc nie mogę cię zabrać na łódź, ale jak mi siądziesz na ramieniu, to inna sprawa. Nie podpada pod taryfikator.

Ptaszek zatrzepotał skrzydłami i troszkę niepewnie usadowił się na podartym i brudnym płaszczu, a przewoźnik odepchnął łódź kijem od dna. Dusze jęczały i zawodziły. Tylko cichy ptasi śpiew stanowił jakąś

odmianę. Całkiem miłą – musiał to przyznać nawet taki stary cynik jak Charon.

Kiedy przybili do brzegu, skowronek machnął skrzydełkami, gotów do dalszej podróży.

– Bezpiecznego lotu! – zawołał przewoźnik. – I nie pomył drogi!

– Dzię-ę-ękuję! – zaśpiewała ptaszyna i uniosła się wysoko w bezgwiezdne niebo Hadesu.

Hades nie był w najlepszym humorze. Po pierwsze Cerber znowu uciekł. Wróci zapewne opity powodującą amnezję wodą letejską – całą tresurę trzeba będzie powtarzać po raz kolejny. Po drugie przekłęty Oknos znowu przemaszerował przez pałac królewski, jak zwykle gubiąc garści słomy, z której skręcał swój niekończący się sznur. Hades był w tej chwili cięty na sam dźwięk wyrazu „słoma” – przypominał mu boleśnie, że jego tegoroczne słomiane wdowieństwo właśnie się zaczęło i potrwa jeszcze parę miesięcy. Na dodatek tak się złożyło, że Telchinowie, którym w tym miesiącu przypadał dyżur w pałacu, jak zwykle strajkowali.

Bóg umarłych nie był więc zbyt zadowolony, kiedy na dodatek poczuł zapach żywej istoty w swoim ogrodzie. Żywi nie mieli czego szukać w jego królestwie, a ich pojawienie się zawsze zwiastowało problemy.

Co za dzień, od samego wieczora coś – pomyślał ponuro Hades, po czym, przyjmując swój najbardziej przerażający ton, wyszeptał lodowato:


– Czuję zapach żywego...

– To ja-a-a! – zaśpiewał melodyjny głosik i spośród gałęzi czarnej topoli wysunęła się powoli mała ptasia główka.

– Co tu robisz, dzierlatko? – spytał bóg zrezygnowanym głosem. Tym razem nie silił się na sztuczki: ptaszek i tak nie wyglądał na zbyt wystraszonego.

– Wypraszam sobie tę dzierlatkę! – zaćwierkał z oburzeniem nieproszony gość. – Zamieniono mnie w skowronka! I to, że wcześniej byłam dziewczyną...

Nocny skowronek



- Jesteś dzierlatką – przerwał jej Hades, puszczając mimo uszu ostatnią uwagę. – Śmieciuszką. Widziałaś się ostatnio w lustrze, dzierlatko?

Ptaszyna patrzyła na władcę zaświatów okrągłymi oczyma pełnymi zdumienia.

Hades z westchnieniem pstryknął palcami i wyciągnął rękę, by złapać nadlatujący na wezwanie hełm niewidkę. Wymruczał kilka słów zaklęcia, przetarł hełm – który nagle zrobił się całkiem widzialny i bardzo błyszczący – skrajem czarnej szaty i wskazał gościowi powstałe w ten sposób zwierciadło.

- Zerknij, proszę. – Humor mu się trochę poprawił.

Hades, tak po prawdzie, królem zaświatów został nie z własnej woli, tylko w wyniku losowania. Bywały takie dni, kiedy bardzo tęsknił za słońcem, światłem i roślinami innymi niż wszechobecne w krainie zmarłych cisy, cyprisy, asfodele i topole. Zawsze był najpilniejszym z braci, więc przez lata spędzone na lekturach oraz rozmowach z niezliczonymi duszami uczonych, podróżników i łowców nabył zaskakująco głębokiej wiedzy o florze i faunie podślonecznego świata.

- Widzisz? Niewielki szary ptak, raczej krępy, ze sporym dziobem. Krótki ogonek. Wyglądasz prawie całkiem jak zwykły skowronek, ale popatrz na ten czubek na głowie... dzierlatko.

- Znaczy, ja nawet nie jestem tym przeklętym skowronkiem? – zaśpiewał ptaszek z lekkim oburzeniem.

- Jesteś, jesteś – uspokoił go Hades. – Jesteś, powiedzmy, wariacją na temat skowronka.

Dzierlatka opuściła łepkę i przez moment wyglądała jak uosobienie wszelkich nieszczęść świata.

- W kwestii mojej wizyty... – zaczęła.

Hades odłożył hełm i gestem przywołał fotel, który posłusznie przyczłapał na lwich łapach. Bóg zmarłych z rozkoszą zapadł w miękkie, czarne poduszki. Dzierlatka usiadła na stoliku naprzeciwko.

- Czy mogę prosić o kropelkę wody? – spytała śpiewnie.

- Ależ skąd! – zaprotestował Hades. – Nie wolno ci tu nic jeść ani pić bez mojej zgody!

Ptaszyna posmutniała, po czym podniosła swoje okrągłe oczka na władcę podziemi.

– Chciałabym umrzeć – zanuciła zdecydowanym głosem.

Hades zamrugał.

– Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz? – spytał z niedowierzaniem. – Nikt nie chce umrzeć; a przynajmniej na pewno nikt, kto umarł, nie chciałby umrzeć jeszcze raz. Achilles zaraz ci powie, jak to wolałby być teraz niewolnikiem, byle żywym. A on jest u nas na specjalnych prawach, bo jego matka to kuzynka, moja w czwartym pokoleniu, żony w piątym.

– Ja tam bym chciała – odparła z uporem dzierlatka.

Hades potarł oczy dłonią.

– Ale dlaczego?

– Bo mam do-o-ość! – Im bardziej dzierlatka była zdenerwowana, tym częściej śpiewała, zamiast mówić. – Jestem jedną wielką pomyłką! Od samego początku! Mama nawet nie chciała dawać mi na imię Hippodamia, bo co druga dziewczyna w miasteczku tak się nazywała! Ale ojciec się uparł, żeby było po ciotce. No i dużo dobrego wynikło z tego „po ciotce”!

– Zaraz, zaraz! – przerwał Hades. – Dziewczyna? A, faktycznie, mówiłaś coś o byciu kobietą...

– Owszem. – Dzierlatka skinęła głową. – Nazywam się Hippodamia, córka Kalipposa. Tato był lutnikiem, mama uważała się za kuzynkę Orfeusza. Ojciec się uparł, żeby dać mi imię po ciotce. A ciotka...


– Twoją ciotką była ta sławna Hippodamia? – spytał władca umarłych.

– Nie – westchnął ptaszek. – Ta zwykła. Jedna z wielu. Ciotka z wujem mieli pole i hodowali konie. Tyle że ich stada ponoć pochodziły od jednej z kłaczy Diomedesa i...

– Nic nie mów! – Bóg machnął ręką. – Co jakiś czas przyprowadzają mi tu kogoś, kogo pożarli jacyś potomkowie ludożerczych kłaczy tego pacana.

– No wła-a-aśnie! – zaśpiewała Hippodamia. – Z wuja był rolnik od siedmiu boleści, pasł te konie na suchych łąkach pełnych ostów, bestie były wiecznie głodne i w końcu, oczywiście, zaatakowały.

Władca zaświatów pokiwał ze współczuciem głową.



– Wuj kiepsko się znał na hodowli zwierząt, był jednak wyjątkowo pobożny – kontynuowała dzierlatka – a ciotka, cóż, bohatercko pospieszyła ratować dzieci, na które potwory rzuciły się jako pierwsze. Bogowie postanowili ich za to wynagrodzić przemianą w ptaki. Wielka mi nagroda.

Hades uniósł brwi.

– Oczywiście – Hippodamia rzuciła ostrożne spojrzenie okrągłych jak paciorki oczek w kierunku boga – ja wiem, że jak już ktoś ma umrzeć, to koniec, Mojry zdecydowały i nawet bogowie nie mogą odebrać ci ofiar jużznaczonych śmiercią, mogą je tylko przemienić, no ale jednak, mimo wszystko, była to średnia pomoc. Zwłaszcza że na dodatek nietrafiona.

Hades zaczynał zdawać sobie sprawę, co się musiało stać.

– Z woli bogów wuj został przepiórką – zaśpiewał smutno ptaszek.
– Kuzyni zamienili się w czaplę, pliszkę, szczygła i chyba coś jeszcze; nigdy nie mogłam się ich doliczyć. A ciotka, ciotka miała stać się tą tam, dzierlatką, ale ktoś źle wycelował metamorfozę i trafiło mnie. Jedna Hippodamia, córka Kalipposa, czy inna Hippodamia, córka Kalipposa, co za różnica. Nikt nie zwrócił uwagi, że mój ojciec to ten młodszy Kalippos!

– I tak zostałam ptakiem – powiedział Hades.

– I tak zostałam ptakiem – potwierdziła Hippodamia. – Cholernym skowronkiem. Ja.

– Nie ma nic złego w skowronkach! – zauważył bóg.

– Ja-a-asne! Poza tym, że trzeba śpiewać! Cały czas! I wstawać wcześniej! Ledwie się Jutrzenka zacznie przeciągać w swoim łóżku, a mnie już zew natury każe zapomnieć o spaniu, wznosić się, latać i... i... i śpiewać!

Władca zaświatów chciał coś powiedzieć, ale dzierlatka nie dała mu dojść do słowa.

– A ja za życia byłam fletnistką! – zanuciła. – Zawodową! I szczerze nie znosiłam swojej pracy, ale cóż, tylko to umiałam, taka rodzina. Marzyłam o tym, żeby zarobić dość, by już nigdy nie musieć parać się muzyką, a za jedyną zaletę mojego zawodu uważałam fakt, że nie trzeba było zrywać się rano: grywałam zwykle na ucztach, a ucztę są w nocy! Uwielbiam ciemność

za oknem i pracę w późnych godzinach, nie przepadam za słońcem i wstawaniem! A teraz, przez źle wycelowaną metamorfozę, nie dość, że muszę śpiewać przez resztę życia, to jeszcze na dodatek o poranku! Bardzo dobrze pamiętam, jakim byłam człowiekiem. Moja ludzka natura, pragnienia i chęci kłóć się z tą ptasią formą, w którą mnie włoczono. Mam dość. Serio, dość. Nic mnie nie obchodzi zdanie Achilleśa. Wolę umrzeć.

Hades już wiedział, co za chwilę usłyszy – i co będzie musiał powiedzieć nieszczęsnej ptaszynie. Uznał, że lepiej uprzedzić jej opowieść.

– Niech zgadnę: próbowałaś popełnić samobójstwo i ci się nie udało – stwierdził raczej, niż spytał.

Dzierlatka popatrzyła na niego i pokiwała łepkiem.

– Próbowałam – potwierdziła smutno.

Hades wziął głęboki oddech i spojrzał prosto w czarne paciorki ptasich ślepek.

– Nie próbuj więcej – powiedział poważnie. – To się i tak nie uda. Nigdy.

– Ale... – zaczęła dzierlatka.

– Nie ma „ale”. – Władca zaświatów pokręcił głową. – Zresztą, ty już o tym wiesz, prawda? To dlatego tu przysłaś. Kraina zmarłych była twoją ostatnią nadzieją.

Po ptasim dzióbku powoli spłynęła łza.

– Zostałaś poddana przemianie – wyjaśnił cierpliwie Hades. – Zrozum, ty nie jesteś zwykłym ptakiem: bogowie wyjęli cię, jak wszystkich przemienionych, spod władzy Mojr, Losu i mojej. Pół człowiek, pół ptak, skowronek idealny. Będziesz już zawsze żyła i śpiewała.

– I wstawała nad ranem – dokończyła ponuro Hippodamia. – I nie wyśpię się przez całą wieczność, będę wiecznie zmęczona, niezdolna spać w nocy, bo ludzka natura, ani w dzień, bo jestem skowronkiem. To nie jest przemiana, to tortura. Wiem, nie brzmi tak źle jak codzienne wyszarpywanie wątroby, ale każdy ma swoje granice wytrzymałości. Ja już moje przekroczyłam.

Przez chwilę milczeli oboje: bóg zamknięty w bezsłonecznym świecie i dziewczyna uwięziona w ptasiej postaci.

– A nie dałoby się mnie przemienić jeszcze raz? – spytała po chwili Hippodamia. – Zrobić taką metametamorfozę? Nie, nie, ja wcale nie muszę być człowiekiem, ale... może dałoby się na przykład zrobić ze mnie innego ptaka? Powiedzmy: sowę? Dobrze bym się czuła jako sowa.

– Nic z tego – westchnął Hades. – Nie praktykuje się metametamorfozy, a poza tym na sowę nie zgodzi się Atena, to jej ptak.

– Aha! Nie praktykuje się, nie znaczy, że to niemożli-i-owe! – zaśpiewała podekscytowana dzierlatka. – Może by w takim razie przemienić mnie w puchacza?

– Puchaczem jest, o ile pamiętam, Askalafos, syn naszego Charona – powiedział władca zaświatów. Zasępił się na moment. – Zaraz, za co go tak ukarano?

– A płomykówka? – Hippodamia nie czekała, aż Hades przypomni sobie coś więcej o puchaczu Askalafosie.

– Płomykówką została bezbożnica Meropis, przykro mi.

– Puszczyk?

– Zajęty! Przez pewną damę, która naraziła się Afrodycie, bo miała romans z niedźwiedziem.

– To może...

– Dość. – Hades przerwał jej łagodnie, ale stanowczo. – Dość. Pewnie, w końcu wymyślisz jakiegoś wolnego nocnego ptaka, tylko, zrozum, to tak nie działa. Przemiana jest ostateczna, jedna i na zawsze.

– A Tejrezjasz? – spytała ze złością dzierlatka.

– Za dużo się bajek nasłuchałaś na tych ucztach! – prychnął władca umarłych. – Proszę bardzo, możemy pójść w model w stylu Tejrezjasza, ale nie jestem pewien, czy zauważysz aż tak dużą różnicę między byciem panią dzierlatką a panem dzierlatkiem, bo w tej wersji tylko taką metaprzemianę mogę ci zaoferować. I tak będziesz wstawać rano.

– Na zawsze? – spytała Hippodamia.

– Na zawsze – potwierdził bóg, czując dziwny smutek.

Dzierlatka milczała przez dłuższą chwilę.

– No có-ó-ó – zaśpiewała w końcu – wobec tego już pójde. Polecę, znaczy. Tu nie ma słońca, ale i tak czuję, że nadchodzi dzień. Choć

w zaświatach to jakby mniej przeszkadza, przynajmniej jest ciemno. Nieważne. Dziękuję. Do widze... A nie, jednak nie do widzenia. Ja tu już nie wrócę. Żegnaj, Hadesie.

Zatrzepotała skrzydełkami i powoli uniosła się w ciemne niebo zaświatów o poranku.

I wtedy właśnie Hadesowi przypomniało się, o co chodziło z Askalafosem i za co syn Charona został zamieniony w puchacza. Za podglądanie. I donoszenie. Konkretniej: za zaobserwowanie, jak pewna – jak najbardziej wiecznie żywa – bogini zjadła w zaświatach kilka ziaren granatu, i za doniesienie o tym władcy Zeusowi. Hades bardzo dobrze pamiętał, jakie to wszystko miało konsekwencje dla bogini.

Na twarzy króla umarłych pojawił się rzadki gość – uśmiech.

– Zaczekaj! – zawołał do odlatującej Hippodamii, a kiedy dzierlatka zawróciła i ponownie wylądowała na stoliku, spytał:

– Naprawdę ci tu lepiej? Z tym brakiem słońca i w ogóle?

Ptaszek skinął głową bez słowa.

– I mogłabyś tu mieszkać? Znaczy, nie zostać zamknięta w zaświatach jako dusza, tylko się tu osiedlić, tak po prostu? Owszem, musiałabyś wracać na parę miesięcy do świata, powiedzmy: na zimę, ale resztę czasu mogłabyś spędzać u nas. Nie uwolniłoby cię to od śpiewania, ale przynajmniej tutejszy poranek i tutejsza noc są równie ciemne.

W czarnych ślepkach dzierlatki powoli pojawiała się odrobina czegoś, co krainy Hadesu widywały jeszcze rzadziej niż uśmiech. Odrobina nadziei.

– Wobec tego – powiedział bóg zmarłych poważnie – pozostaje mi tylko jedno pytanie. Hippodamio, córko Kalipposa, czy zechce pani skosztować naszych słynnych granatów?

Kiedy już wysiądziesz z łodzi Charona, wędrowcze, i zobaczysz przed sobą bezkres kraju zmarłych – potężny więz, pod którego liśćmi śpią senne koszmary, ogień u bram Tartaru, kołysane zimnym powiewem łany

Nocny skowronek

asfodeli – może się okazać, że nagle usłyszysz nieoczekiwany dźwięk. Być może nawet, zanim napoją cię wodą zapomnienia, rozpoznasz ten głos i zdążysz się zdziwić, co ranny ptaszek robi w wiecznym mroku.

A co do mężczyzny w długim płaszczu – magiczny hełm ukrywa go przed oczyma żywych i umarłych. Raczej więc nie spotkasz go na ciemnych zaświatowych drogach, choć przecież codziennie od wiosny do jesieni wychodzi z pałacu o bezsłonecznym poranku i czeka, by usłyszeć pieśń jedyne go w całym świecie nocnego skowronka.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Zuzanna Nabiątek

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Ilona Skrzypczak-Żurawska, Ewa Kujaszewska

Weryfikacja: Jakub Moroński, Aleks Gapski

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Anna Baj, Piotr Mers

DZIESIĘĆ DNI BŁĘKITU

Monika Fenc

Do słońca jednak nigdy nie umiałem się przystosować, nie mam w sobie dość światła, żeby się z nim dogadać. (...) Dziesięć dni błękitu wtrąca mnie w stan bliski szaleństwu.

Emil Cioran, Zeszyty 1957–1972


Daniel leżał na szpitalnej pryczy ze wzrokiem wbitym w sufit. Z wielkich, czarnych skarabeuszy zakrywających jego małżowiny uszne nieustannie szumiała muzyka. O bezsensownych próbach topienia demonów słyszała cała sala – siedmiu otumanionych przez leki nastolatków – nie z wyboru, bo gdyby go mieli, już dawno wybraliby inny singiel. Tymczasem tylko Daniel miał słuchawki i dzielił się swym nastrojem tak długo, aż pielęgniarka wyrwała kabel z gniazda w iPhone'ie i ucięła w ten sposób strumień riffów.

– Gówniarzu, mówiłam do ciebie. Obróć się na bok. – Trzymała gotową strzykawkę w dłoni okrytej lateksem. – Ruchy.

Wydawanie poleceń ławce stojącej w parku przyniosłoby podobny efekt.


Nie siląc się na delikatność, kobieta podwinęła chłopcu rękaw i wbiła igłę w chude ramię. Żaden mięsień na jego twarzy nawet nie drgnął. Tylko






oczy poruszały się powoli, jakby śledziły jakiś ruch na suficie. Oczywiście niczego tam nie było.

Pielęgniarka skrzywiła pogardliwie usta i opuściła pomieszczenie. Wiedziała dokładnie, co wystuka za moment w notce do doktora prowadzącego. Gówniarz znów miał halucynacje.



Kiedy Daniel wpatrywał się w sufit, widział najlepiej zachowany, najczystszy obszar ośrodka. Popękany tynk wraz z pokrywającą go błękitną farbą imitującą niebo, w kątach porośnięty pleśnią. Nieskazitelny. Nie nosił śladów zbiorowych okaleczeń ani obscenicznych rysunków czy groźnych haseł. Nie dosięgnęła go żadna ręka należąca do schorowanego umysłu. Może właśnie dlatego to tam unosiły się tian dengi.

Tym mianem Daniel obdarzył kule wielkości bilardowych, emanujące delikatnym światłem. Nie mogły być materialne, nie reagowały na ruch powietrza, kiedy na sali hulał przeciąg, ani na wysiłki Daniela, gdy z rękami pod głową, wydmuchując przez usta powietrze, próbował wytrącić je z ruchu po utartych, niewidzialnych ścieżkach. Żyły krótko, początek ich bytu był zarazem początkiem ich wędrówki ku górze, właśnie niczym chińskie lampiony – lampiony szczęścia puszczane podczas festiwalu. I podobnie jak one kulki mały i znikają z oczu, by po kilku godzinach po prostu przestać istnieć.



Daniel opuścił rękę poza krawędź łóżka. Był w ciągu już szósty dzień. Pięć pokrytych strupami krech znaczyło różne części jego ciała. Nie musiał wstawać ani zerkać, by wiedzieć, gdzie sterczał kawałek drutu – fragment ramy wyrwany z wątych nitów przez któregoś z poprzednich pacjentów. Naparł przedramieniem na ostrą krawędź. Zacisnął zęby. Szybki, zdecydowany ruch, ból dobiegający z daleka, jakby z drugiej strony dźwiękoszczelnego ekranu, ciepła ciecz spływająca po przedramieniu.

Czekał na ulgę, która zawsze przychodziła, gdy tian dengi opuszczały jego ciało. Kolejny dowód na trafność przyrównania zjawiska do

azjatyckich wierzeń, wedle których latarnie uwalniały człowieka z trosk i problemów. Uniósł skaleczoną rękę.

Tym razem były niewielkie, za płytko ciąż. Odklejały się od jego krwi i ulatywały w górę, zupełnie jakby ktoś odwrócił grawitację podczas deszczu. I jak strugi wody zniekształcały obraz, tak twarz ojca powoli pojawiała się i rozmazywała przed oczami chłopca, by finalnie pozostawić jedynie uczucie chłodu w miejscu, które nie tak dawno zajmowało jej wspomnienie.

Znów poczuł na sobie czyjś wzrok. Dzieciaka, może dziesięcioletniego, choć trudno było określić na pewno, gdyż choroba wyrzeźbiła w pызatej, piegowatej twarzy trwałe ślad. Jak obozowy tatuaż. Duże, niebieskie oczy perwersyjnie podążały za ruchami Daniela za każdym razem, kiedy uwalniał lampiony. Daniel ignorował natrętnie spojrzenie, choć walczył z chęcią wszczęcia awantury. Gdyby w szkole ktoś podglądał go z podobną poufałością, pięścią wybiłby mu kilka zębów. Lecz w szpitalu było inaczej. Tutaj każdy tonął we własnym bagnie, a zbędne ruchy były stratą energii.

Ostrożnie schował zakrwawioną rękę pod kołdrę, śmierdzącą od potu i poplamioną wydzielinami, której nikt nie wyprał porządnie przez ostatnie miesiące, po czym włączył znów muzykę na telefonie i zamknął oczy.

– Jak się czujesz, Danielu?

Idiotyczne pytanie niewarte odpowiedzi.

Szczupły mężczyzna we flanelowej koszuli postukał w zamyśleniu palcem w ramę łóżka.

– Wciąż coś widzisz, prawda? Te kule, o których mówiłeś podczas ostatniego pobytu? Pani Zosia twierdzi...

Dziesięć dni błękitu



- Pielęgniarka gówno wie.

- Danielu, obaj zdajemy sobie sprawę, że powiesz mi to, co chcę usłyszeć, byle tylko wyjść do domu. Chcesz wyjść do domu?

Pieprzone, schematyczne myślenie. Dlaczego miałby tego chcieć? Co dom mógł mu zaoferować? Puste pokoje? Ciszę wwiercającą się w mózg niczym robak? A może nieustanny, irytujący lament matki? Płacz i błaganie o zmianę zachowania? Zupełnie jakby mógł cofnąć się w grze do poprzedniego zapisu, by wybrać inną ścieżkę rozwoju.

Życie?

Daniel zniósł świdrujące spojrzenie zezującego lekarza.

- Przestraszyłeś nas tym ostatnim wyskokiem. Zdaniem anestezjologa straciłeś prawie litr krwi. Jak myślisz, to dużo czy mało?

- To nie była próba samobójcza.

Daniel mówił szczerze. Mógłby dodać, że zwyczajnie utracił kontrolę.

Tamtego dnia rozpaczliwie potrzebował odreagować, inaczej głowa pękłaby mu jak dynia rozłupana tasakiem, a im mocniej wbijał w ciało kawałek stłuczonego kubka, tym bardziej czuł, że ból odracza inwazję szaleństwa, pomaga odzyskać wewnętrzną równowagę, oczyszcza krew ze światła.

Doktor westchnął z rezygnacją. Nie był człowiekiem cierpliwym, a zdaniem Daniela nie był też dobrym lekarzem, dlatego chłopiec zatrzymał resztę dla siebie.

- Jutro masz rozmowę z psychologiem. Mam nadzieję, że nie zmarnujesz tej szansy.

Szepnął coś do towarzyszącej mu kobiety w białym kitlu. Długopis ożył w dłoni pielęgniarki, gdy zaczęła gryzmolić coś w karcie chłopca.

- Pewnie zwiększył ci dawkę ketrelu – zauważył dzieciak naprzeciwno, kiedy personel opuścił salę pięć minut później. – Standardowa procedura.

Daniel opadł na poduszkę. Większa dawka oznaczała powrót do mgły, przesypiania dnia za dniem i snucia się po oddziale niczym zombie. Samo wspomnienie tego stanu wystarczyło, by poczuł mdłości. Nie potrzebował leków. Czemu oni nie rozumieli, że ich nie potrzebował? Leki sprawiały tylko, że wszystko stawało się jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Kiedy Daniel był mały, jego ojciec z dnia na dzień zniknął z ich życia. Zostawił swoje rzeczy uporządkowane na półkach w szafie i odszedł bez pożegnania czy słowa wytłumaczenia. Chłopiec pytał o niego matkę przez wiele miesięcy, płakał, wybuchał złością. Kobieta, zmęczona żalem dziecka i przepełniona własnym, podała synowi telefon w jego szóste urodziny, twierdząc, że tata jest po drugiej stronie.

– Możesz mu powiedzieć wszystko, kochanie.

Rok w rok powtarzali ten rytuał wieczorem, przed zdmuchnięciem świeczek na urodzinowym torcie. Daniel wyobrażał sobie ojca, trzymającego słuchawkę gdzieś po drugiej stronie. Usta w gęstwinie wąsów i brody, zbliżone do mikrofonu. Czasem zdawało się chłopcu, że słyszy jego oddech, jednak nigdy nie doczekał się słów.

W dniu czternastych urodzin matka po raz pierwszy zapomniała. Nie było ciasta, nie było rozmowy, prezentu ani życzeń. Było puste mieszkanie zalane ciemnością i głośna muzyka płynąca ze słuchawek. Wtedy zadzwonił telefon.


To był on. Daniel wreszcie po ośmioletniej rozłące usłyszał znajomy głos.

Relatywnie świeże cięcie wciąż piekło, gdy rozpoczął zdrapywanie strugów z przedramienia. Wbił paznokcie głęboko w ranę, ale krew, która popłynęła, była niczym więcej jak ciemnoczerwoną strugą, czystą, bez śladu świeżych kul.

Kolejny raz poczuł na sobie spojrzenie. Należało do tamtego blondyna.

Przez dłuższą chwilę chłopiec obserwował Daniela w milczeniu.

– Mój starszy brat robił to równie często – odezwał się w końcu. – Wszystkim, co miało ostrą krawędź. Zawsze nosił coś przy sobie. Mówił, że to go uspokaja. Wiesz, że w każdej chwili może przestać i takie tam.



Nie wsypałem go rodzicom, póki nie pociął się naprawdę mocno. Byliśmy sami w ogrodzie, rodzice nie wrócili jeszcze z pracy. Rozryczałem się, a on machnął ręką w powietrzu i głębokie cięcia zniknęły. Potem przejechał drutem po nadgarstku jeszcze raz i znów rana zniknęła. Robił tak całe popołudnie.

Daniel przypomniał sobie, że dziś ma przyjść do niego matka. Nagle gorąco zapragnął dostać ten ketrel.

– W pewnym momencie zaczął mnie częstować lekami. Codziennie przy śniadaniu przełamywał po kryjomu tabletkę na pół, podawał mi jedną połówkę, a sam połykał drugą. Myślałem, że to cukierek, miała taki słodki smak. – Blondyn uśmiechnął się posępnie. – Powinienem po nich coś zobaczyć, ale nie działało. Michał strasznie się złościł. Potem pierwszy raz trafiłem tu na oddział. Wtedy zacząłem je widzieć, te światła, które on oglądał od miesiąca.

Daniel wbrew sobie ujrzał w wyobraźni scenę, w której starszy chłopiec rozcina skórę i podniecony wskazuje młodszemu bratu tian dengi.

– *Widzisz je?* – Michał wpatruje się w braciszka rozgorączkowany.

Mały, nieprawdopodobny cud staje się odtąd ich wspólną tajemnicą.

– *Nie wolno ci nikomu powiedzieć, jasne?*

I młodszy z braci, wierny swemu idolowi, milczy, jakby mu język odjęli, nawet gdy miesiąc później Michał podczas kąpieli tnie bardzo głęboko i tym razem nie próbuje się ratować.

Danielowi także otworzyła oczy pierwsza hospitalizacja, miesiąc po czternastych urodzinach. W drugim tygodniu pobytu na oddziale. Na tej samej sali, w której byli obecnie – sali z sufitem koloru nieba.

Przeszedł go dreszcz, gdy uświadomił sobie, co mu właśnie odebrano. Usiadł powoli i zaciskając pięści, podniósł wzrok na blondyna.

W jednej z rozmów Daniel powiedział ojcu, że jest wyjątkowy. Syn nieudany, godny pogardy, z zepsutą biochemią w mózgu, ale jednocześnie unikatowy w swej ułomności. Nowiny o dwóch kolejnych pacjentach kazały Danielowi spojrzeć na wszystko inaczej. Skoro wyjątków było więcej, znaczy, że nie było żadnego. Mylił się.

Pozwolił ojcu uwierzyć, że może warto do niego wrócić.

Kłamca.

Ojciec zostawił go całkowicie zasłużenie. Daniel był nic niewartym kłamcą.

– Wiedziałeś, że jeśli dotkniesz świateł, to one wrócą, a rana natychmiast się zagoi?

Daniel pokręcił sztywno głową. Wydało mu się to pozbawione sensu.

– Próbowałem uzdrowić tak brata własną krwią, ale chyba jest zepsuta – kontynuował smętnie chłopiec. – Cięcia nic nie dają. Żadnych świateł. – Umilkł. Prawdopodobnie czekał na reakcję Daniela. Ta jednak nie nadeszła.

– One są złe. Jak... jak... demony. Błędne ogniki. Uwielbialiśmy z bratem pokazy fajerwerków. Gdy robił sobie krzywdę, widziałem na jego twarzy uśmiech, jak wtedy, gdy gasły ostatnie race. Pragnął oglądać je w nieskończoność.

Daniel zacisnął zęby, gdy usłyszał znajome myśli ubrane w słowa.


– Nie powinniśmy móc ich widzieć – doszedł go stłumiony szept.

Następnego ranka Daniel nie dostał leków. Był to efekt niedbalstwa, nieodłączny element szpitalnej rzeczywistości. Opuszczenie rutynowej dawki sprawiło, że w połączeniu z garścią kofeinowych karmelków, przeżymionych mu poprzedniego popołudnia przez matkę, chłopiec odnalazł w sobie dość motywacji, by wstać z łóżka i udać się do oddziałowej łazienki ze szczoteczką oraz tubką pasty w garści, czego nie czynił od wielu dni.

Łazienka znajdowała się na końcu korytarza. Aby do niej dotrzeć, należało pokonać wąską ścieżkę, utworzoną przez rzędy łóżek ustawionych pod ścianą, i uważać przy tym na torby pacjentów walające się po podłodze.

Daniel zmoczył twarz w zimnej wodzie i wbił wzrok w popękane, zgniłozielone kafelki nad umywalką – miejsce, gdzie w każdej normalnej łazience wisiałoby lustro. Chłopiec dobrze wiedział, jak nędzny obrazek

Dziesięć dni błękitu



ujrzałby w gładkiej tafli: potargane, sztywne od łoju czarne włosy, zapadnięte policzki, ziemistą cerę, spękane usta, wymiętoloną bluzę. Pasował idealnie do tej zdezelowanej łazienki z pleśnią na ścianach i brudnymi prysznicami bez zasłonek. Matka powinna go tu zostawić na zawsze.

Smartfon zadzwonił tak nagle, że Daniel niemal wypuścił aparat z ręki. Ze zdziwieniem spojrzął na ekran, nie umawiał się z matką na rozmowę. Jednak zamiast czarnego tła z napisem „Mama” ujrzął stare zdjęcie ojca.

Serce zabiło mu jak oszalałe. Nigdy nie rozmawiał z ojcem poza własnym pokojem, nigdy w słoneczne dni ani w weekendy, żeby nie denerwować matki. Wciąż miał w pamięci jej wybuch, kiedy ich przyłapała. Wtedy pierwszy raz zabrała syna do psychiatry.

Coś się musiało stać, ojciec by nie ryzykował.

Daniel drżącym palcem przesunął po zielonej ikonce i przyłożył aparat do ucha.

– Tak?

– Cześć, Dan. Pomyślałem, że jak wyjdiesz, powinieneś pokazać mi, co potrafisz.

Chłopiec ścisnął w dłoni telefon.

– Przyjedziesz?

– Wybacz, synu, nie mogę. Jeszcze nie. Ale muszę zobaczyć, jaki jesteś wyjątkowy. Mój chłopak, jedyny w swoim rodzaju. Zrobimy wideokonferencję.

Daniel zaczerpnął głęboko powietrza. Powinien mu powiedzieć. To był ten moment. Tylko... tak bardzo nie był gotowy na jego rozczarowanie.

– Tato, ja już nie jestem jedyny – wypalił.

Koniec. Słowa wybrzmiały, już nie mógł ich cofnąć.

Zapadła cisza przerywana jedynie trzaskami zakłóceń na linii.

– Jest ktoś jeszcze... – Czoło chłopca zrosił pot. – Ze mną na sali.

– Wszystko w porządku? – rozległ się trzeci, nieproszony głos.

Daniel odwrócił się na pięcie. iPhone z cichym stukiem wpadł do umywalki.

- Z kim rozmawiałeś?

Znajomy blond chłopiec stał w wejściu do łazienki. Wyciągając szyję, rozglądał się ciekawsko po pomieszczeniu.

Daniel warknął coś niezrozumiale. Sięgnął po telefon, ale w umywalce leżała tylko jego szczoteczka do zębów. Pośpiesznie obmacał kieszenie spodni w poszukiwaniu urządzenia. Przecież miał je przy sobie, dopiero co trzymał je w dłoni. Zlustrował wszystkie umywalki i podłogę, czując narastające zdenerwowanie. Pobiegł nawet między prysznicze. Nic.

- Co zrobiłeś? - zaatakował chłopca. - Gdzie mój telefon?!

Dzieciak cofnął się jedną nogą na korytarz.

- Leżał na twoim łóżku, jak wychodziłem.

- Bzdura!

Daniel ruszył w stronę chłopca. Był wściekły. Blondyn czmychnął, nim znalazł się w zasięgu pięści.

Na sali panowała atmosfera sennego otępienia. Za szybą słońce prażyło z bezchmurnego nieba, przez pozamykane i zakratowane okna wpadały promienie, które rozgrzewały powietrze do niebotycznych temperatur.

Daniel tęsknił za chmurami - za ich szarością, przemalowującą świat w naturalne barwy. Czasem podczas deszczu mógł zadzwonić ojciec. Daniel obawiał się tego telefonu. Lecz jeszcze bardziej bał się tego, że po ich ostatniej rozmowie tata nie zadzwoni już nigdy.

Tian dengi wirowały dzisiaj tak nisko, jakby lgnęły do chłopca i jego ponurego nastroju. Gdy tak leżał na łóżku, wyciągnął dłoń w kierunku lampionów napływających licznie od strony kąta sali, w którym tłoczyła się grupka nastolatków. Lśniły jak bączki wyrzucone w powietrze. Gdyby zechciał, mógłby ich dotknąć. Cudze odpady myśli, wydaliny. To tak, jakby wsadzić dłoń w czyjeś wnętrze. Cofnął rękę. Obrzydliwość.

- Widzę, że znalazłeś telefon. - Jasnowłosy chłopiec przystanął w nogach jego łóżka i uśmiechnął się. - Mój brat...

– Och, zamknij się wreszcie! – Daniel poderwał się z miejsca, stanął na materacu. – To wszystko twoja wina!

Spróbował kopnąć zaskoczonego chłopca w twarz, ale ruch okazał się zbyt gwałtowny. Druga noga ugięła się pod nim i Daniel zamachał szaleńczo rękoma, aby odzyskać równowagę. Nawet nie zauważył momentu, w którym jego dłoń zanurzyła się w świetlistych kulach.

Czuł je w żyłach, na zmianę gorąco i lód ścinające krew, pędziły wzdłuż naczyń przedramienia, ramienia, coś zakłuło go w klatce. Eksplozja myśli, uczuć w postaci charakterystycznego napięcia załazała jego świadomość z siłą kataklizmu. Z nosa i uszu buchnęła krew, nacięcia na ciele – zarówno świeże, jak i te stare, zabliznione – otwały się i dołąły do koktajlu brutalnych doznań jeszcze jedno: organiczny ból.

Daniel zwałił się na łóżko, usłyszał krzyk. Towarzyszył mu jeszcze długo po tym, jak stracił przytomność. Echo z bardzo, bardzo daleka.

140

Rysunek powstał czarno-biały, ponieważ Daniel dysponował tylko ołówkiem. Odkąd przebudził się na oddziale ratunkowym i doznał niejako *déjà vu*, nie odezwał się ani słowem. Szkicownik mógłby być nowym rodzajem terapii, gdyby ktokolwiek z lekarskiej kadry miał czas na jej prowadzenie. Rzecz jasna – nie miał. Dlatego kiedy przypadkowa psycholog zatrudniona na kontrakcie wzięła od chłopca ukończone dzieło, jej oczom ukazał się obraz trudny do interpretacji.

– To ty? Tu na środku? – zapytała, wskazując palcem prostą, wręcz dziecinną podobiznę Daniela.

Wokół wznosiły się lampiony, chłopiec kreskami podkreślił intensywność rozchodzącego się od nich światła. Na ściankach wyrysowanych starannie zatemperowanym ołówkiem uwiecznione zostały rozmazane postaci. Chaos. To pierwsze wrażenie, które nasuwało się przy oglądaniu rysunku. Niepoukładany umysł na kartce.

Daniel odczuwał palący wstyd rozgrzewający mu policzki, gdy stopniowo zaczerniała białą kartkę, ilustrując niemoc i żal, należące

wcześniej do dzieciaków, którym teraz je zabrał. Przechwycił. Po tym, co zrobił, nie potrafił postrzegać siebie inaczej jak gwałciciela. Światło wypełniło go mrokiem jeszcze gęstszym niż jego własny. Obce myśli i wspomnienia mieszały się z myślami Daniela, który poczuł się, jakby zerwał z tych chłopców ubranie, dotykał intymnych, delikatnych miejsc bez pozwolenia.

– Na rysunku masz pocięte nadgarstki. Według historii już się wcześniej okaleczałeś, ale od tego zostają blizny. Twoja skóra jest czysta, Danielu, więc... Jak to w końcu było?

Zaczął trzeć intensywnie dłońmi o nogawki spodni. Skóra płonęła. Przez moment mógł się skupić tylko na tym najbardziej prymitywnym przekazie bodźcowym. Te dłonie nie powinny były nigdy czuć pod sobą cudzego dobra.

Zetrzeć naskórek. Pozbyć się łącznika między głową a źródłem zakażenia.

– Danielu?

Mocniej.

– Daniel?

Drgnął. Ujrzał nachyloną nad stolikiem łagodną twarz terapeutki, otoczoną burzą złotych loków. Spozrzegłszy, że wreszcie skupiła na sobie jego uwagę, kobieta uśmiechnęła się delikatnie. Daniel śledził chwilę ruch jej warg, słowa przepływały jednak obok niego.

Otaczały ich błękitne ściany szpitalnego gabinetu. Zakratowane okienko wpuszczało do środka zachodzące słońce.

Jedna konsultacja. Zwykle pacjenci więcej nie dostawali. Podczas przydzielonych sześćdziesięciu minut problem powinien być należycie nakreślony, skategoryzowany, oceniony i – najlepiej – rozwiązany.

Na parapecie leżały martwe muchy. Jedna obok drugiej, ułożone w nierównym rzędku. Lekkie, jakby puste w środku, wystarczyłby delikatny ruch powierza, aby zmieść je na podłogę.

Dobrze byłoby tak położyć się na parapecie i znieruchomieć. Raz na zawsze wyrzucić z siebie własne, nic niewarte *ja*. Wymazać wspomnienia nacinanych żył, kopniaków, drwin rówieśników ze szkoły.

Dziesięć dni błękitu

Przywrócić równowagę. Spokój.

Dziesięć dni później jeden chłopak, z którym Daniel dzielił swą błękitną salę po powrocie na oddział, zachorował. Jakiś biegunkowy syf, trudne *Clostridioides*. Pacjenta trzeba było pilnie izolować, więc całą szóstkę najpierw wywalono na i tak zatłoczony już korytarz, a następnie jeszcze tego samego dnia puszczono do domu. W dokumentację każdego z nich wklepiano identyczną adnotację: „wypisany w stanie optymalnej poprawy”.

– Co ci chodzi po głowie?

To nie był głos terapeutki. Dobiegał z głośnika komórki spoczywającej na jego biurku.

Daniel spoglądał na granat nieba, rozpościerający się za oknem w jego sypialni, panoramę miasta – piękny widok z dziesiątego piętra. Tysiące małych świateł pnących się po wieżowcach lub sunących wzdłuż ulic. Nie czuł zupełnie nic. To ta pustka wrosnięta głęboko, odkąd sięgał pamięcią. Pochłaniała wszystko i mieliła jak blender, czym przemieniała życie w czarno-biały obraz i od czasu do czasu obdarzała negatywnym szczęściem.

– Mówiłeś, że chciałbyś zobaczyć moje lampiony – powiedział Daniel drżącym głosem do odbicia w szkle.

Od czasu pobytu na szpitalnym oddziale ratunkowym przestał się kaleczyć. Nie żeby po tamtym incydencie zaczęto uważniej obserwować jego ciało. Raczej odnosił wrażenie, że to nie wystarczy. Jeśli wcześniej egzystował w wąskim, ciemnym tunelu – teraz rozwinął się on w sieć metra. Daniel nie znał sposobu na odwrócenie tych zmian, gubił się w nich, dusił. Niemal na pewno były definitywne.

Wypadek przyniósł mu jedną korzyść: telefon wydzwaniał prawie codziennie.

– Bardzo tego pragnę. Ale... synu? Chciałbym zobaczyć je wszystkie. Tamtych chłopców również.

Daniel ścisnął w spoczonej dłoni plastikową rączkę noża do papieru.
– Dobrze, tato.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Anna Dudała

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Paweł Sadowski, Dominika Świątkowska, Kaja Jaroszewska, Ewa Kujaszewska

Weryfikacja: Patrycja Pancierz, Magda Kowalewicz, Anna Twarowska, Michał Gola

Kontrola weryfikacji: Dawid Wiktorski

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski
Magda Kowalewicz, Marek Młodzikowski, Monika Kruszczyńska,
Anna Sikorska

SEN O EURYDYCE

Joanna Kołakowska

Orfeusz wyprzedzał Eurydykę o pół oddechu. Od bram prowadzących na powierzchnię dzieliło ich zaledwie dziesięć kroków. Jeszcze tylko dziesięć kroków i znowu będą razem. Za dziesięć kroków znów będzie mógł na nią spojrzeć!


Zrobił pierwszy krok i pomyślał o błękitnych oczach Eurydyki. Tyle pieśni wyśpiewał na ich temat, tak często porównywał je do czystych jezior i nieba o poranku... Dawno temu jego matka powiedziała, że za takim spojrzeniem nie może kryć się podła dusza.

Już za chwilę popatrzy w te oczy!

Przy drugim kroku pieśniarz pomyślał o aureoli złocistych włosów, otaczającej twarz ukochanej. Zawsze były miękkie i pachnące, łaskotały go w brodę, gdy przytulał żonę. Wieczorami Eurydyka długo rozczesywała te piękne pasma ozdobnym grzebieniem, a on, jej mąż, przyglądał się temu zachłannie i rozmyślał o szczęściu, które go spotkało.

Naturalne wydaje się, że Orfeusz, czyniąc trzeci krok, myślał o ciele Eurydyki, co wieczór spoczywającym obok. Myślał o tym, jakie było miękkie i delikatne; myślał o ciepłe, które biło od skóry jego żony, tak jak jej woń, która po latach stała się dla niego zapachem domu.

Czwartemu krokowi towarzyszyło wspomnienie ramion, w których objęciu mógł zapomnieć o całym świecie, nawet o muzyce. Za dnia te



ramiona ciężko pracowały, żeby zapewnić mu opiekę, a wieczorami obejmowały ciasno, jakby chciały odgradzić go od wszelkich trosk.

Po zrobieniu piątego kroku pieśniarz w myślach przywołał obraz dłoni ukochanej żony. To te dłonie masowały jego ręce zmęczone grą, to one przygotowywały mu posiłki, to one o niego dbały.

Z szóstym krokiem przyszła pora na przypomnienie sobie rumieńców wykwitających przy każdej okazji na policzkach Eurydyki. Czerwieniły się i w radości, i w trosce; i w tańcu, i w chwilach zadumy.

Właśnie o jej tańcu myślał przy siódmym kroku. O tym, jak lekko stąpała, gdy porywała ją muzyka, jak wirowała w zapamiętaniu, jak nawet głązy przyłączały się do tego tańca. Tak bardzo teraz żałował, że nigdy do niej nie dołączył; że wołał stać z boku i grać na swojej lirze.

Robiąc ósmy krok, Orfeusz odtwarzał w pamięci głos Eurydyki. Sam słynął ze wspaniałych pieśni, ale to jej głos wydawał mu się najdroższy ze wszystkich możliwych. Nieważne, czy śpiewała wesołą piosenkę, opowiadała coś z przejęciem, czy szeptała mu na ucho swoje sekrety.

Dziewiąty krok niósł ze sobą wspomnienie idealnie wykrojonych różanych warg. Gdy był bliski pogrążenia się w ponurych rozmyśleniach, doskonale wargi całowały jego skronie i zabawiały go radosnym szczebiotem.

Aż wreszcie przy dziesiątym kroku Orfeuszowi przypomniał się uśmiech, z jakim ukochana witała go przy każdym powrocie.

Gdy Orfeusz i Eurydyka przeszli przez bramy rozdzielające światy żywych i umarłych, pieśniarz obejrzał się za siebie. Ujrzał wychudzoną kobietę, bladą i chorą. Spoglądała na niego oczami zaczerwienionymi od płaczu, spękane wargi zaciskała nerwowo. Miała te same rysy, jednak jej włosy posiwiwały, zęby żółkły i częściowo wypadły, ręce zhardziały, stały się zylaste i suche. Była zmęczona, zgarbiona, wyniszczona. Stara.

Orfeusz patrzył za siebie, a Eurydyka rozplynęła się niczym sen.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Dawid Wiktorski

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Joanna Kołakowska



Korekta: Kinga Grodzka, Marysia Truś, Kaja Jaroszevska, Patrycja Kurczewska

Weryfikacja: Michał Gola, Magda Kowalewicz, Aleksandra Krasińska

Kontrola weryfikacji: Anita Brzozowicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Anna Sikorska, Magda Kowalewicz

ZAGRODA

Anna Sikorska

– Wypakujcie to wreszcie! – wykrzyknęła wysoka, szczupła trzydziesto-
parolatka w typie businesswoman do trojga swoich towarzyszy, dwóch
mężczyzn i kobiety, zajętych noszeniem walizek pomiędzy samochodem
a drewnianym domem lotniskowym.

– Będą cyrki – skomentował zza firanki staruszek, który obserwował,
jak blondwłosa paniusia wędruje na wysokich obcasach przez piaszczyste
podwórko.


Szybko ewakuował się z saloniku, by przypadkiem nie stanąć jej na
drodze.

– Halo? Jest tu kto?

– Jestem, jestem. – W drzwiach do pokoju, wycierając ręce o fartuch,
pojawiła się około pięćdziesięcioletnia korpulentna gospodyni
i uśmiechnęła się ciepło do nowo przybyłej. – W czym mogę pomóc?

Kobieta rozejrzała się z niesmakiem po skromnie, ale funkcjonalnie
urządzonym pomieszczeniu. Westchnęła. Cały ten pomysł z długim
weekendem na łonie natury wydawał jej się jedną wielką fanaberią,
ustąpiła jednak, bo Marek nalegał. Tylko po co zabierał tę swoją
nawiedzoną siostrę i jej męża?

– Mamy rezerwację dla czterech osób, dwa podwójne pokoje.



– Tak, pamiętam. – Właścicielka pokiwała głową. – Proszę za mną, pokażę dom.

Domostwo było położone na skraju lasu w spokojnej okolicy, jakieś trzysta metrów leśną drogą od głównej trasy. Pani Wiesia kupiła Kądzielkę, niegdyś zamiejską willę jakiegoś bogacza, za bezcen i przekształciła w gospodarstwo agroturystyczne. Zamieszkała tu wraz z mężem i teściem, panem Konradem zwanym Kondziem, lekko szurniętym, wesołym staruszkim, który większość czasu spędzał albo w lesie, albo w szopie.

W Kądzielce nie było obory czy kurnika, mieszkali tu jedynie trzy koty, pies oraz dwa konie w stajni, na wypadek gdyby turystom zachciało się przejażdżek. Czyste, otoczone niskim płotem podwórko sąsiadowało z ogródkiem warzywnym, rabatami kwiatowymi oraz sadem. Las wokół nie krył żadnych drapieżników większych od lisa, do rzeki z miniaturową plażą można było dojść w dziesięć minut.

Marzena musiała niechętnie przyznać Markowi rację. Pobyt w tym odludnym miejscu wpływał pozytywnie nawet na nią. Odprężyła ją spacer po lesie, wygrzewanie się w nadal ciepłym wrześnieowym słońcu, szum przepływającej opodal rzeczki i długie wieczory przy kominku. Wybrała się nawet na przejażdżkę konną, czego nie robiła od czasów studenckich. Zaczynała żałować, że weekend niedługo się skończy i trzeba będzie wracać do miasta oraz sukowatego *ja*, które pozwalało jej przetrwać w świecie korporacji.

Wyrzała przez okno. Kondzio gadał coś do jednego z kotów, przy okazji głaszcząc zwierzaka. Jakby czując na sobie spojrzenie, podniósł głowę i uśmiechnął się do kobiety. Od tego uśmiechu zrobiło jej się niewyraźnie. Podobno był niegroźnym staruszkim, któremu pomieszało

się w głowie po stracie syna, ale Marzenie nie wydawał się taki bezradny i niewinny. Wzruszyła ramionami.

Nie osądzaj – zganiła się w myślach i zastanowiła, co chce zrobić z ostatnim popołudniem i wieczorem w Kądzielce.

Jutro muszą wyjechać zaraz po obiedzie, by zdążyć przed wieczornymi korkami. Jutro... Nieważne, miała te kilka godzin dla siebie. Marek z pozostałymi wybrali się na festyn czy jarmark w pobliskim miasteczku i nie spodziewała się ich przed nocą. Nie pojechała z nimi, bo nie pociągały jej podobne wydarzenia, a nie chciała zniszczyć nastroju tego weekendu. Wzięcie udziału w jakimś głośnym zgromadzeniu wieśniaków, choćby nie wiadomo jak wartościowym z historycznego, etnograficznego czy kulturalnego punktu widzenia, zakłóciłoby jej spokój.

Przeciągnęła się leniwie i postanowiła wyjść na zewnątrz. Dzień był pochmurny, ale nie zapowiadało się na deszcz. Pogoda nie sprzyjała wylegiwaniu się na plaży nad rzeką, może więc powinna udać się na przejażdżkę konną? Ruszyła w stronę stajni, by zorientować się, czy istnieje taka możliwość, i zatrzymała się, by przepuścić kiluosobową grupę grzybiarzy dzielącą z nimi Kądzielkę. Wracali podekscytowani z lasu, głośno rozprawiając o tym, jakie wspaniałe okazy udało im się znaleźć. Znad rzeczki przywędrowali dwaj wędkarze, starsi mężczyźni o spokojnych twarzach i kilku nadprogramowych kilogramach każdy. Zatrzymali się przy Kondziu i zapytali go o coś. Wskazał im kierunek, po czym potrząsnął głową.


– Nie idźcie tam – zasugerował. – Nie po zmroku, najlepiej w ogóle. To tam zniknęła moja Iwonka.

Wędkarze pokiwali głowami i skierowali się do domu.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Zatrzymała jednego z nich. – O czym rozmawialiście? Czy jest coś ciekawego w tym lesie?

Starszy mężczyzna spojrzał na nią z zainteresowaniem. Nie podejrzewał, że miastowa paniusia może być ciekawa przyrody.

– Podobno w tym miejscu była też zagroda, typowa wiejska chata z kurnikiem, oborą i całym dobrodziejstwem inwentarza, ale popadła w ruinę – odpowiedział. – Teraz to tylko kamienie, ale skoro tu jesteście,



to pomyśleliśmy, że warto by okiem rzucić. Stary mówi, że nie warto. Może się tam przejdziemy po obiedzie.

Nie zaproponował, żeby dołączyła, co ją ucieszyło. Nie miała zamiaru chodzić po lesie z prostakami. Podziękowała i skierowała się w stronę Kondzia, który karmił teraz psa.

– Nie gryzie? – zagała.

– Gdzież tam, panienko! – odparł, głaszcząc głowę sporego kundla, na co ten w odpowiedzi wesoło zamachał ogonem. – On potulny jak baranek. Ino nie bodzie.

Roześmiał się, a Marzenę przeszły ciarki.

– Panie Konradzie – zaczęła – ja w sprawie tej chaty w lesie, o którą pytali tamci panowie. Co z nią? Jest co obejrzeć?

Uśmiech zniknął z pobruźdzonego oblicza, ręce starca zaczęły się trząść, a oczy zaszyły mgłą.

– Nie chodź tam, panienko – wyszeptał. – Tam zło dobrych ludzi zabiera. Nie trzeba wam tego. Moja Iwonka także sama jak wy była, ciekawa świata, zaradna, a potem zło ją zabrało i nikt nie pamięta, nikt, a ja sam na świecie zostałem. Nie chodź tam.

Patrzyła w jego wyblakłe błękitne oczy, widziała w nich bezmiar rozpacz i tęsknoty. Chwyliła starą, powykręcaną artretyzmem dłoń i uściśnęła ją lekko.

– Nie pójde – obiecała. – Nie pójde.

Nieśmiały uśmiech zawitał na twarzy Kondzia. Chciał coś jeszcze dodać, ale w tej chwili pojawiła się pani Wiesia.

– Tato, drew potrzeba do kominka. Przyniesiesz? – zapytała i mężczyzna odszedł żwawo w kierunku drewni.

– Przepraszam za niego – dodała, zwracając się do Marzeny. – Czasem nachodzą go dziwne nastroje, ale to dobry człowiek.

Miastowa popatrzyła na nią z zainteresowaniem.

– Kim była Iwonka?


Gospodyni zaniemówiła na chwilę, po czym westchnęła, poprawiła fartuch i odpowiedziała:

– Kondzio miał jedno dziecko, syna, Staśka, mojego męża. Nigdy nie mieliśmy dzieci. Mąż zginął w wypadku niedaleko stąd, a niedługo potem tata, teść znaczy, zaczął opowiadać o Iwonce. O wnuczce, która w dniu śmierci Staśka poszła do zagrody i już z niej nie wróciła. Rzecz w tym, że Iwonka nigdy nie istniała. Nikt nigdy o niej nie słyszał, nikt o niej nie mówił, nikt jej nigdy nie widział. Próbowałam z taty wyciągnąć, czyją córką mogła być, ale on tylko patrzy zdziwiony i pyta, czemu własnego dziecka nie pamiętam. Ot, pomieszało się człękowi w głowie z rozpaczy. A pozostałości zagrody tam, jakieś dziesięć minut spaceru przez las w tamtą stronę, znajdzie. Nie nadawało się toto do odnowienia, to zarosło i tak stoi. Nic ciekawego, ale pójdzie i sama zobaczy.

Odeszła w stronę kuchni, zostawiając Marzenę pogrążoną w myślach.

Obiad przeciągnął się prawie do wieczora. Najpierw zupa, potem drugie danie, deser i domowe wino sprawiły, że cała obecna kompania nie spieszyła się z opuszczeniem jadalni. Pierwszy raz od wielu lat Marzena czuła się swobodnie, i to wśród całkowicie obcych osób. Może takie życie bardziej by jej odpowiadało niż miejskie? Bez pośpiechu, bez złośliwości, bez wyścigu szczurów... Czy to chciał jej pokazać Marek? Że można żyć inaczej? Ale przecież na co dzień on był taki sam, nie mógł wytrzymać bez gwaru miasta. Nawet teraz pojechał na jakiś festyn, zamiast cieszyć się ostatnim spokojnym wieczorem w lesie.

Nie możesz podejmować tak istotnych decyzji pod wpływem chwili – zganiła samą siebie i wstała, by udać się na górę do swojego pokoju. Jej wzrok padł na okno. Dlaczego nie? To zajęłoby może z pół godziny, a do zmroku pozostało zdecydowanie więcej czasu. Co prawda obiecała Kondziowi, że tam nie pójdzie, ale cała historia okazała się urojeniami szurniętego staruszka, a spacer na pewno dobrze by jej zrobił.



Zagroda znajdowała się nieco dalej, niż pani Wiesia powiedziała, a i droga do najwspanialszych nie należała, zwykła zarośnięta ścieżka. Prawie nierozpoznawalny kurnik, w połowie zawalona obora i zachwaszczony ogródek wyglądały zwyczajnie brzydko. Marzena poczuła rozczarowanie. Parterowa chałupa, rozpadająca się i śmierdząca stęchlizną, także nie zachęcała do zwiedzania, ale skoro kobieta już tu przyszła, to wypadałoby zajrzeć do środka.

Pchnięte drzwi zaskrzypiały w proteście, jednak uchyliły się na tyle, że mogła zobaczyć, co się za nimi kryje. Jak się okazało, nic ciekawego – stary piec na drewno, kilka krzywych półek z pustymi słoikami, mały stół i przewrócone krzesło. Marzena precyzyjnie się przez wąski otwór do środka. Chatka była malutka. Znajdowało się tam coś na kształt łóżka, teraz ledwo rozpoznawalnego, bo przeżartego wilgocią. W rogu stał kołowrotek, obok kredens z talerzami, na piecu nadal znajdowały się garnki. Wyżej mieściła się pewnie druga sypialnia, jeśli można było tak ją nazwać – drabinka prowadziła na półpiętro, teraz zbyt zbutwieła, by ryzykować wspinaczkę. Małe okienka nie wpuszczały wiele światła.

Rozejrzała się po izbie. Wszystko było zaniedbane, a dach wyraźnie przeciekał. Marzena spróbowała sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby żyć w takim miejscu. Cała chata miała mniejszą powierzchnię niż jej salon. Skrzywiła się do własnych myśli. Rzeczywiście nic ciekawego, jak słusznie zauważyła właścicielka. Można by odbudować dom i pokazywać jako atrakcję turystyczną, ale takich miejsc istniało wiele i pewnie całe przedsięwzięcie byłoby nieopłacalne.

Podeszła ostrożnie do pieca, przesunęła kocioł i czajnik, zajrzała w palenisko. Chyba nadal działało. A gdyby kupić sobie taką chatkę? Przyjeżdżać do niej na wakacje? W zamyśleniu podniosła krzesło i na nim usiadła. Wodziła dłonią po blacie, głaszcząc drewno. W myślach widziała siebie zajmującą się małym ogródkiem, cerującą serwetę przy świetle świec, nastawiającą wodę w czajniku...

Nagły dźwięk wyrwał ją z zamyślenia. Poderwała się z miejsca i rozejrzała przestraszona. To tylko ptak dostał się do środka przez dziurawy dach. Potrząsnęła głową. Co za głupie myśli ją nawiedziły!

Sama, w chałupie bez elektryczności, grzebiąca w ziemi i wykonująca wszystkie te obowiązki domowe, których tak nie cierpiała! Ze złością zrzuciła czajnik z pieca i szybkim krokiem opuściła chatę.

Rzeczywiście była niebezpieczna – pomyślała z sarkazmem.

Jej gniew wzrósł, gdy zauważyła, ile czasu zmitrężyła w tym miejscu. Panował półmrok, od Kądzielki dzieliło ją jakieś dwadzieścia minut spacerem, a i chłód dawał się we znaki. Zaczęła iść szybkim marszem. W połowie drogi chciała wspomóc się światłem z telefonu, bo potykała się o korzenie, ale bateria okazała się rozładowana. Klęła jak szewc. Co też ją podkusiło, żeby zwiedzać jakieś opuszczone zagrody? Po jasną cholere w ogóle tu przyjeżdżała? Jakby mało parków i lasów mieli w okolicy miasta. Do klubu by poszła, a nie na zadupie się wpakowała! Już ona sobie z Markiem porozmawia na temat głupich pomysłów!

Marek. No tak. Jeszcze ją zostawił i pojechał na jakiś festyn.

Znowu się potknęła. Jak ona nienawidziła tej cholernej wsi!

Przed nią zamigotało światełko. Nareszcie! Co prawda była to tylko szopa oddalona od właściwej Kądzielki przynajmniej o sto metrów ciemnego sadu, ale światło oznaczało obecność ludzi, od których mogła pożyczyć latarkę albo którzy mogli odprowadzić ją do głównego budynku.

Podeszła do drzwi i pchnęła je lekko.

Nic.

Mocniej.

Nic.

Westchnęła. Widocznie zamknięte. Zapukała i dobiegł ją cichy odgłos zbliżających się kroków. Po chwili w wejściu powstała szpara, a w niej zamajaczyła twarz Kondzia.


– Idź sobie – powiedział. – Nic tu po tobie.

Przytrzymała drzwi, które chciał z powrotem zamknąć.

– Panie Konradzie, niech mi pan tylko latarkę pożyczy – poprosiła. – Ciemno tu.

Zagroda





- Po ciemku z domu przylazła, po ciemku wróci. Ta sama droga - wymruczał.

- Ale ja nie z domu, ja z zagrody. Nie wiem, jak przez sad przejść, a bateria w telefonie mi się wyczerpała.

Coś dziwnego załśniło w oczach starca. Coś jakby nadzieja przemieszana z żalem.

- Z zagrody? - upewnił się.

- Z zagrody - potwierdziła ochoczo.

Drzwi otworzyły się i dziadek gestem zaprosił ją do środka.

- Jak z zagrody, to insza sprawa - zamruczał. - Usiądziecie sobie tam. - Wskazał stół w niewielkim pomieszczeniu zagraconym narzędziami.

Odsunęła krzesło i usiadła. W szopie było ciepło, Kondzio używał piecyka gazowego, żeby nie marznąć w czasie pracy.

- Herbaty? - zapytał i machnął ręką w stronę termosu i kubków na półce.

- Poproszę.

Kiedy drżącymi rękoma nalewał parującego napoju do naczyń, Marzena rozglądała się wokół z zaciekawieniem. Zwykła, zdawałoby się, szopa zawierała kilka niezwykłych elementów. Wysoko na ścianach wisiały rzędami obrazki malowane na drewnie, takie jakie można było kupić w sklepach z pamiątkami. Każdy z nich przedstawiał podobny domek i polanę oraz roześmianą kobietę.

- Cukru?

- Łyżeczkę, jeśli można prosić.

Te obrazki... Niektóre ukazywały letnie scenerie, inne jesienne lub zimowe, miejsce jakby to samo, ale nieprzypominające Kądzielki. Może były kolekcją Kondzia? Jego hobby? Prawdopodobnie, bo na stole zauważyła jeszcze jedną deseczkę, częściowo zakrytą płótnem, a obok niej słoik z pędzlami i paletę z farbami.

Starzec postawił przed Marzeną kubek.

- Pij. Nie wrzątek, ale ciepłe.

Podziękowała. Herbata miała lekko ostrawy posmak, pewnie była zmieszana z jakimiś ziołami na dręczące Kondzia przypadłości, ale smakowała dobrze i szybko rozgrzewała.

Mężczyzna wpatrywał się intensywnie w kobietę.

– Poszła panienka do zagrody? – zapytał w końcu.

– Mhm.

– Czy zagroda próbowała panienkę zatrzymać?

Spojrzała na niego uważnie.

– Zatrzymać?

– Ano. Zrobić, żeby zamieszkała.

Nie musiała nic mówić, z jej twarzy wyczytał odpowiedź.

Wstał i podszedł do drzwi, już nie tak przygarbiony i jakby ożywiony.

Przekręcił klucz w zamku. Chciała zaprotestować, ale nie mogła. Nagle poczuła ogarniającą ją słabość. Nie dała rady podnieść się z krzesła. Spojrzała na herbatę i zrozumiała. Otruł ją. Ale dlaczego? Powoli, jak we śnie, odwróciła głowę i wbiła w niego pytające spojrzenie.


– Masz prawo wiedzieć – stwierdził bezbarwnym głosem.

Odsłonił malunek, który spoczywał na stole. Przedstawiał zagrodę z lasu, ale w stanie sprzed zniszczeń, gotową do zamieszkania. Był prawie skończony, brakowało kilku szczegółów, między innymi postaci kobiety. Z półki zdjął drugi, znacznie starszy, z ledwo widoczną, wyblakłą sylwetką.

– Iwonka pobiegła do zagrody, gdy dowiedziała się o śmierci ojca. Lubiła tam przesiadywać, wtedy jeszcze nic się nie rozsypywało. Gdy nie wróciła do zmroku, poszedłem jej szukać. W chacie znalazłem tylko ten obrazek. – Czule przesunął palcami po starszej deseczce. – Iwonka na nim wyglądała jak żywa. Uśmiechała się ze smutkiem, z tęsknotą. Zrozumiałem, w jakiś sposób zrozumiałem, że to nie jej wizerunek, że to ona. Uwięziona. Nagle poczułem otaczające mnie zło. Dusiło. Wysysało emocje. Nie wiem, skąd się wzięło. Może obudziła je swoją rozpaczą... Zawarliśmy pakt. Zrozum, ja nie chcę tego robić, ale tak musi być, tak mi zło z zagrody powiedziało. Za moją Iwonkę szesnaście innych, szesnaście polubionych, nie byle jakich; tyle, ile lat miała, gdy mi ją zabrano. I wróci, wróci moja wnuczusia kochana. Wróci do dziadka. – W oczach starego pojawiły się łzy wzruszenia.

Marzena prawie rozumiała. Z wielką trudnością skierowała spojrzenie w stronę obrazków na ścianie. Jeden, dwa, trzy... Liczyła powoli...





Czternaście, piętnaście. Konrad, który nie wyglądał już na Kondzia, mrużąc coś niezrozumiałego, wpatrywał się w jej twarz i przybliżał pędzel do leżącego na stole szesnastego malowidła.

– Gotowi! – krzyknął Marek w kierunku roześmianej trzydziestoparoletniej kobiety o krótkich ciemnych włosach i błękitnych oczach.

– Już idę – odparła. – Tylko pożegnaj się z dziadzią.

Patrzył, jak podbiega do starszego mężczyzny i obejmuje go czule. Z domu wyszła korpulentna gospodyni z pakunkami. Podała je Markowi.

– To dla was, co byście w tym mieście z głodu nie pomarli – zażartowała.

– Opiekuj się tam tą moją Iwonką, a i przyjeżdżajcie tu do nas częściej. Tata tak się cieszy, jakby od lat jej nie widział!

Zagroda. Las. Następna zagroda. Wszystkie szesnastcie identycznych. Każda zamieszкана przez jedną kobietę. Były w różnym wieku, różnego pochodzenia, o różnych charakterach. I miały tylko siebie.

Organizowały czasem wyprawy do lasu, by szukać wyjścia, ale zawsze wracały do tego samego otoczenia. Tych samych szesnastu zagród. Jedyne, co się zmieniało, to ich podejście. Z czasem obojętniały na piękno otaczającego świata, na trudy życia, w końcu na własny los. Zło wysysało z nich wszelkie uczucia, a jego głód wciąż rósł.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Kamila Galer-Kanik, Magdalena Świerczek-Gryboś

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Iwona Winiarska, Ilona Skrzypczak, Paulina Karbownik

Weryfikacja: Małgorzata Lisiecka, Aleksandra Krasieńska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Agnieszka Chodkiewicz, Joanna Stoga, Marek Młodzikowski

Fantazmaty działają non-profit od 2017 roku. To nasza dziewiętnasta antologia. Ponad 150 osób wolontariacko poświęca swój czas, byśmy mogli działać skutecznie i profesjonalnie. Chcemy, by nasze książki nadal docierały do każdego czytelnika w formie bezpłatnych ebooków i audiobooków, a kolejne darmowe poradniki pisania pojawiały się na stronie WWW.

Wiesz, że ty też możesz mieć swój wkład w Fantazmaty?

Zostań naszym Patronem.

Wspierając projekt, pomożesz nam utrzymać stronę internetową i opłacić koszt serwera, dasz nam możliwość pojawiania się nie tylko na konwentach, ale też na targach książki. Dzięki tobie więcej osób będzie mogło dowiedzieć się o Fantazmatach, a przez to spełnić swoje marzenie o opublikowaniu tekstów, wydać swoją twórczość przy wsparciu zaangażowanych redaktorów i korektorów, sprawdzić się jako ilustrator, przyłączyć się do zaangażowanego zespołu, zdobywać wydawnicze doświadczenie oraz przeczytać książki takie jak ta.

Zajrzyj na patronite.pl/grupawydawniczafantazmaty

Informacje o opowiadaniach | Content warnings

- „Projekt Gepetto”: fantazy | śmierć, przemoc, broń masowego rażenia
- „First we take Manhattan”: historia alternatywna, dieselpunk | naziści, transhumanizm
- „Gdańsk 76”: groza | wulgaryzmy
- „Skarb”: fantazy | śmierć
- „Śpij, królowo”: science fantasy | śmierć
- „Ludzkości historia prawdziwa”: science fiction | brak
- „Później”: science fiction | niewola, tortury, śmierć, myśli samobójcze
- „Kyofum, czyli Słowa”: baśń | śmierć, obumieranie przyrody, modyfikacje ciała
- „Mit założycielski”: soft science fiction | śmierć, uwięzienie, groźby
- „Córy Nieba”: baśń | brak
- „Na ławce”: realizm magiczny | brak
- „Niebieski flaming grający na bongosach”: baśń | broń
- „Nocny skowronek”: baśń/mit | śmierć
- „Dziesięć dni błękitu”: realizm magiczny/dramat psychologiczny | przemoc, drastyczne sceny, samookalectwanie
- „Sen o Eurydyce”: mit | śmierć, starość
- „Zagroda”: wiejska fantastyka (rural fantasy) | trucizny